

TECHNOLOGIE

Prof. Jerzy Surma o tym, dlaczego warto budować polską sztuczną inteligencję

STR. 8-9

**SPORTOWY24**

Pokaz siły snowboardzistki Aleksandry Król-Walas. Imponuje formą przed IO

STR. 22

**dziś SPORTOWY24****POLSKA**

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 19.01.2026
Nr 6 (2517)Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.plNR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682

9 771898 308011

04

UNIA EUROPEJSKA

Rolnicy protestują przeciwko umowie z Mercosur

Unia Europejska podpisała umowę handlową z blokiem Mercosur (tworzą go Argentyna, Brazylia, Paragwaj i Urugwaj). Porozumienie utworzy strefę wolnego handlu, która obejmie ponad 700 mln konsumentów. Obawiają się tego Europejczycy - w tym polscy - rolnicy, choć Komisja Europejska uspokaja, że umowa nie zaszkodzi farmerom. Polska, Francja, Węgry,

Austria i Irlandia głosowały przeciwko umowie, Belgia wstrzymała się od głosu. Do zbudowania mniejszości blokującej potrzeba było sprzeciwu co najmniej czterech państw członkowskich stanowiących co najmniej 35 procent ludności UE. O tym, że umowa wejdzie w życie, przesądziło stanowisko Włoch. Minister rolnictwa Stefan Krajewski zapowiada skierowanie

układu z Mercosur do TSUE. Europejczycy rolnicy uważają za niesprawiedliwe m.in. to, że z jednej strony UE nakłada na własnych producentów wyśrubowane standardy, a z drugiej otwiera się na import z krajów, które nie muszą ich przestrzegać. Zapowiadają protesty.

STR. 3



FOT. EVGENY MALOLETKA/AP/EAST NEWS

Grenlandia mówi: „nie”

Donald Trump zamierza nałożyć cła na kraje UE, które pomagają Grenlandii. Tymczasem mieszkańcy wyspy oraz Duńczycy protestują przeciwko zakusom Stanów Zjednoczonych

STR. 4

W piątek magazyn Puls

● 25 stycznia, jak co roku, będzie grała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. To już 34 zbiórka, tym razem na dzieci z chorobami przewodu pokarmowego

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Marek Mazurkiewicz
publicysta



BEZPIECZEŃSTWO TO DZIŚ LUKSUS

Początek tego roku nie zapowiada, że będzie spokojniej. Na arenie międzynarodowej wrze. Kolejne kraje pogrążają się w kryzysach. Nie mała w tym rola Amerykanów, którzy nie zamierzają zatrzymać się na Wenezueli i konsekwentnie forsują własną wizję porządku świata. W spekulacjach na temat dalszych neoimperialnych ambicji USA pojawiają się m.in. Kuba i Kolumbia.

Gorąco jest także na Bliskim Wschodzie. Protesty w Iranie przybierają coraz większą skalę, mimo że tamtejszy fundamentalistyczny reżim próbuje je krwawo i brutalnie tłumić. Nie umknęło to uwadze prezydenta Trumpa, który nie wykluczył wydania rozkazu amerykańskiej armii do interwencji także w Iranie. W ślad za rosnącym napięciem wokół Iranu polskie MSZ zaleciło Polakom przebywającym w tym kraju natychmiastowy wyjazd, ostrzegając, że do militarnej eskalacji może dojść lada dzień.

Niepokój narasta również w Europie. Krystalizują się zamiary administracji USA wobec Grenlandii. W środowisku wieczór światowe media odnotowały, że rozmowy przedstawicieli wiceprezydenta USA J.D. Vance'a i sekretarza stanu Marco Rubio z delegacją rządu Danii i Grenlandii ujawniły fundamentalne różnice stanowisk. Trump zdaje się tym nie przejmować i otwarcie powtarza, że interesuje go przejęcie kontroli nad Grenlandią - najlepiej na własność. Nie liczy się także z opinią Grenlandczyków, którzy w zdecydowanej większości (85 proc.) nie chcą stać się kolejnym stanem USA. Miejmy nadzieję, że plany „Anschlusu” Grenlandii nie dojdą do skutku, bo w przeciwnym razie wkroczymy w czas globalnej destabilizacji.

Tymczasem polityka krajowa koncentruje się na nieudanych wyborach nowego przewodniczącego Polski 2050, na węgierskim azylu politycznym dla Zbigniewa Ziobry i jego żony oraz na spekulacjach, kiedy pomiędzy rządem a prezydentem dojdzie do kolejnego sporu. Na tym międzynarodowym tle nasze krajowe „wojenki” wypadają blade i chwilami groteskowo. W czasach takiej niepewności Polska potrzebuje spokoju, odpowiedzialności i stabilności. Bo bezpieczeństwo to dziś luksus.

”

Wojna hybrydowa to nie tylko ataki w internecie. To podpalenia, sabotaże, »przypadkowe« loty dronami. To także akty państwowego terroryzmu, takie jak podłożenie materiałów wybuchowych

Radosław Sikorski na platformie X

FILM, KTÓRY ZACHWYCA DUSZE SUBTELNE I ANTYSYSTEMOWCÓW

Jakim sposobem ten film dostał nagrodę główną na festiwalu w San Sebastian? Co sprawiło, że zrobił już ponad 4 miliony euro, skoro w kinach jest zaledwie od dwu miesięcy i tylko w Hiszpanii, a teraz w Polsce, natomiast w innych krajach będzie grany od lutego? Dlaczego niewierząca reżyserka i autorka scenariusza podjęła temat powołania zakonnego i jakim cudem wyszła z tego zwycięsko?

Najprostsza będzie odpowiedź na ostatnie pytanie. Alauda Ruiz de Azúa odrzuciła wszelki aktywizm. Nie przekonuje do tezy, nie chce terapeutyzować. Temat traktuje z szacunkiem: nie nawraca ani nie ośmiesza. Próbuje tylko zrozumieć coś, co się logice wymyka.

To miałoby wystarczyć? Owszem, bo to postawa dziś wyjątkowa. Przecież twórcom kina - reżyserom i aktorom - odpowiada postawa wyroczni decydującej, co mądre, a co głupie, albo co dobre, a co złe, także w sprawach, o których pojęcia nie mają.

Konieczny jest jeszcze talent. A tego nie brakuje ani reży-

Liliana Sonik
publicystka



serce, ani aktorom. Obserwujemy wspaniałe, dojrzałe kreacje aktorskie. Nie ma w tym filmie gwiazd plakatowych, napompowanych marketingiem - są gwiazdy realne.

A Ruiz de Azúa po prostu opowiada historię i stara się ją zrozumieć. Poznajemy hiszpańską rodzinę z klasy średniej. Nie nazbyt bogatą, ale też nie biedną. Są dobrze wychowani i kulturalni. Lubią się i wspierają. Główna bohaterka, Ainara (w tej roli świetna Blanca Soroa), ma 17 lat. Jest miłą, bystrą uczennicą klasy maturalnej w katolickim liceum. Mieszka z ojcem, dwiema młodszymi siostrami oraz z babcią w komfortowym, ładnym domu. Matka nie żyje, więc za przyszłość Ainary czuje się odpowiedzialna Maite - siostra ojca.

Nagle przychodzi trzęsienie ziemi. Bo taki efekt wywołuje

Ainara, gdy mówi, że rozważa wstąpienie do klasztoru. Rodzina Ainary nie chce w to uwierzyć.

I o tym jest ten film.

Jak to możliwe? W XXI wieku? Czym jest siła, która w najmniej spodziewanym czasie i miejscu potrafi skłonić do porzucenia wszystkich rysujących się na horyzoncie atrakcji przyszłego życia? Także pocałunków, pieszczot i chłopaka, który mógł stać się miłością życia, przez dziewczynę, której nic nie brakuje. Czy naprawdę?

Bo deklaracja Ainary odsłania pulsujące konflikty.

Tolerancyjna, wesoła Maite z dnia na dzień zapomina o tolerancji. Nowoczesna menedżerka kultury nie potrafi zrozumieć tajemnicy sacrum, więc próbuje różnych metod, by odwieść bratanicę od popełnienia życiowego błędu. Reaguje agresją, ponieważ

uważa, że Ainara skazuje się na nieszczęście. A przy tym nie chce zauważyć, że to jej życie - małżeństwo, a nawet relacja z synkiem są konstrukcją pustą, wydrążoną z sensu i szczęścia.

W tym filmie nikt nie jest jednowymiarowy. Rodzina Ainary nie jest rodziną Addamsów; to rodzina, jakich wiele, podobna do naszych rodzin.

Film zdaje się mówić, że powołanie zdarza się w dowolnym czasie i miejscu, a my nie znajdujemy odpowiedzi na pytanie, dlaczego. Możemy to tylko uszanować i pogodzić się z bezradnością racjonalnych wyjaśnień.

Warto pójść do kina, by zobaczyć „Niedziele” - bo taki tytuł nosi film, o którym piszę. Każdy będzie zaskoczony, choć każdy zapewne innym jego aspektem. Bo - wbrew pozorom - to nie jest film dydaktyczny. Ani moralizatorski. To nawet nie jest film o Bogu, który - jak to Bóg ma w zwyczaju - pozostaje niewidoczny. A jeśli widoczny, to tylko przez krótką chwilę. I tylko dla rozpaczonej Ainary.

SZARE SZEREGI OBCEJ BANDERY

Portal morski podał, że „w Antwerpii odbył się chrzest polskiego 40-tysięcznika, którego matką była wnuczka budowniczego portu w Gdyni Hanna Wenda-Uszyńska”. Uczestniczyli przedstawiciele polskich władz i harcerze.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby na zdjęciu wielkiego statku, pod dumną nazwą Szare Szeregi, nie widniał napis: Monrovia, czyli stolica Liberii - czyli jednego z najbiedniejszych krajów Afryki, którego specjalnością jest rejestracja statków pod tzw. tanią banderą. Robi się to, żeby nie przejmować się np. polskimi przepisami prawa pracy, bezpieczeństwa czy podatkami. Łatwiej płacić malutką daninę w Liberii niż większą w Polsce,

Tadeusz Płatek
publicysta



w dodatku unikając ryzyka, że na karku będą siedzieć polskie urzędasy. Zwłaszcza, że okręt i tak pływa po morzach i oceanach, głównie po wodach międzynarodowych, choć teoretycznie, po naszych wodach śródlądowych, jeziorach i rzekach, też mogą pływać statki zarejestrowane w krajach taniej bandery. Dokładnie tak, jak po polskich drogach mogą jeździć auta „taniej rejestracji”. Gdzie takie auta da się w przyrodzie zaobserwować? Np. w Krakowie. Tam najczęściej następuje lans w nowych

Lamborghini czy Ferrari na czeskich (a nie polskich) rejestracjach. Bo zapisując auto u pepików można sobie więcej wrzucić w koszty, czyli, mniej wpłacić do polskiego, pazernego budżetu. Oczywiście, gdy Polak z oszczędności rejestruje takie Ferrari, to jest wiocha i brutalna utrata prestiżu. A teraz - co może być jeszcze większą wiochą niż Ferrari na czeskich blachach? Szare Szeregi!

Właścicielem statku o tak patriotycznej nazwie jest Polska Żegluga Morska - najstar-

szy polski armator, którego właścicielem jest... Skarb Państwa. Tak, dobrze słyszeliście. Skarb państwa woli płacić podatki nie sobie, tylko w Liberii. Zresztą tak, jak prawie wszystkie wielkie polskie statki (np. zbiornikowiec-gazowiec Lech Kaczyński pływa pod banderą Francji).

Już dwa lata temu był projekt, żeby coś z tym zrobić, żeby statki jakoś repolonizować. Ucichęło, a szkoda. Bo to obciąża na wszystkie morza, na świat cały.

Zapisując auto u pepików można sobie więcej wrzucić w koszty, czyli, mniej wpłacić do polskiego, pazernego budżetu

JEST POROZUMIENIE Z MERCOSUR. ROLNICY ZAPOWIADAJĄ PROTESTY

Unia Europejska podpisała w sobotę umowę handlową z blokiem Mercosur. Porozumienie utworzy strefę wolnego handlu, która obejmie ponad 700 mln konsumentów. Obawiają się tego europejcy, w tym polscy, rolnicy, choć Komisja Europejska uspokaja, że umowa nie zaszkodzi farmerom. Minister rolnictwa Stefan Krajewski zapowiada skierowanie układu z Mercosur do TSUE

oprac. Dorota Kowalska

Rolnicy nie zablokowali porozumienia między Unią Europejską a blokiem Mercosur. Ceremonia podpisania umowy rozpoczęła się o godz. 16.30 czasu polskiego w stolicy Paragwaju. Państwo to od początku roku sprawuje prezydencję w Mercosurze.

- Tworzymy największą strefę wolnego handlu na świecie, rynek wart prawie 20 proc. światowego PKB. Zapewniamy niezliczone możliwości naszym 700 milionom obywateli - powiedziała podczas ceremonii szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Dołączyła, że chce zapewnić 450 mln mieszkańców UE, że ta umowa jest „dobra dla Europy - dla każdego państwa członkowskiego”.

W ubiegły piątek w Brukseli na podpisanie umowy UE-Mercosur zgodziła się Rada Unii Europejskiej. Gdy porozumienie wejdzie w życie, zniesione zostaną cła na handel między Unią a blokiem Mercosur, natomiast niektóre produkty rolnicze mają zostać objęte kontyngentami.

Polska, Francja, Węgry, Austria i Irlandia głosowały przeciwko umowie, Belgia wstrzymała się od głosu. Do zbudowania mniejszości blokującej potrzeba było sprzeciwu co najmniej czterech państw członkowskich, stanowiących co najmniej 35 proc. ludności UE. O tym, że umowa wejdzie w życie, przesądziło stanowisko Włoch.

Podpis pod umową złożył w imieniu UE unijny komisarz ds. handlu Marosz Szefczowicz. Negocjacje dotyczące umowy między UE a blokiem państw Mercosuru trwały 25 lat, ale znacząco przyspieszyły w 2025 roku.

Komisja Europejska widzi w umowie z Mercosurem (twożycy Argentyna, Brazylia, Paragwaj i Urugwaj) szansę na otwarcie rynków południowoamerykańskich na towary przemysłowe takie jak samochody, maszyny czy tekstylia. Obecnie są one obłożone cłami na poziomie



Związki zawodowe rolników, zmobilizowane przeciwko umowie, zapowiedziały dużą demonstrację w przyszły wtorek przed Parlamentem Europejskim w Strasburgu

35 proc., co utrudnia europejskim producentom handel.

Wicedyrektorka ds. międzynarodowych w największym w UE stowarzyszeniu firm Business Europe Luisa Santos powiedziała PAP w zeszłym tygodniu, że UE straciła w ostatnich latach ok. 30 proc. swojego udziału w rynkach państw należących do Mercosuru na rzecz Chin. Dzieje się tak, ponieważ chińskie towary takie jak samochody elektryczne są tańsze. Różnica w cenie jest tak duża, że nawet 35-proc. stawka celna daje Chińczykom przewagę.

Największe emocje budzi część umowy dotycząca rolnictwa. Finalizowaniu prac nad porozumieniem handlowym towarzyszyły protesty rolników w całej Europie, w tym polskich farmerów. Obawiają się oni zalania unijnego rynku tańszą żywnością z Mercosuru, zwłaszcza mięsem.

Europejscy rolnicy uważają za niesprawiedliwe m.in. to, że

z jednej strony UE nakłada na własnych producentów wyśrubowane standardy, z drugiej - otwiera się na import z krajów, które nie muszą przestrzegać takich obostrzeń.

Wątpliwości nie rozwiała wzmocniona klauzula ochronna do umowy, którą zaproponowała Komisja Europejska. Mechanizm mający chronić rynek przed zaburzeniami wywołanymi wolnym handlem jest częścią wszystkich porozumień handlowych zawieranych przez UE. W przypadku umowy z Mercosurem Wspólnota przyjęła jego wzmocnioną wersję.

Klauzula ochronna może prowadzić do wyłączenia korzyści celnych dla producentów produktów wrażliwych takich jak wołowina, drób, nabiał, cukier i etanol z bloku Mercosur w przypadku nagłego wzrostu importu tych towarów lub spadku ich cen na unijnym rynku.

W toku prac legislacyjnych znacząco wzmocniono klauzulę

- w miejsce 10-proc. progu dotychczasowego spadku cen zaproponowanego przez KE przyjęte zostało 5 proc. Pozwoli to na dużo szybszą reakcję w przypadku ewentualnych zaburzeń na rynku. KE uważa jednak, że zaburzenia są mało prawdopodobne ze względu na bardzo ograniczone kontyngenty objęte niższymi cłami.

Jak podkreślała Komisja, umowa nie zapewnia bezcłowego dostępu do wołowiny z krajów Mercosur. Pozwoli ona na wprowadzenie na rynek UE 99 tys. ton tego mięsa po niższej stawce celnej w wysokości 7,5 proc. Stanowi to zaledwie 1,5 proc. unijnej produkcji i 0,6 proc. produkcji wołowiny w krajach Mercosuru. Zwolnione z cła będzie 180 tys. ton drobiu rocznie. Stanowi to 1,3 proc. całkowitej produkcji UE.

Nadal umowy nie zatwierdził Parlament Europejski. W środę 21 stycznia izba będzie głosować nad tym, czy zaskarżyć porozu-

mienie z Mercosurem do Trybunału Sprawiedliwości UE. Według części źródeł w PE mogłoby to opóźnić głosowanie nad ratyfikacją umowy przez europarlament o kilka miesięcy. Związki zawodowe rolników, zmobilizowane przeciwko umowie, zapowiedziały dużą demonstrację w przyszły wtorek przed Parlamentem Europejskim w Strasburgu.

Ale też Polska, ze swoim cenionym za jakość, wydajnym rolnictwem może na tej współpracy stracić. Mówił o tym choćby Bartosz Mielniczek z Klubu Jagiellońskiego czy Marek Wąsiński, kierownik Zespołu Gospodarki Światowej Polskiego Instytutu Ekonomicznego (ten ostatni ocenił jako wpływ „umiarkowanie negatywny”).

Nic więc dziwnego, że hasła przeciw umowie z Mercosur wzięli na sztandary polscy rolnicy, w tym ci z Żuław. Protestowali dwukrotnie w grudniu, manifestując na trasach szybkiego ruchu, ważnych skrzyżowaniach, rondach. Byli też na wielkim proteście w Warszawie.

- Musi boleć, wszyscy muszą odczuć - inaczej protest nie będzie miał sensu, nie trafi do nikogo - mówili przed akcją rolnicy.

Rolnicy w ostatnich latach wychodzą na ulice regularnie. Były akcje Agro Unii m.in. przeciwko wolnemu od ceł importowi zbożna ukraińskiego. Na początek 2024 r. hasłem przewodnim były walka z Zielonym Ładem i ponownie, z kontyngentem ukraińskich produktów rolnych.

- To będzie sytuacja analogiczna do ukraińskiego zboża - dużo niezdrowego towaru obniżającego cenę. Zależą nas tanie produkty z Ameryki Południowej. Tanie, bo produkcja odbywa się z użyciem wydajnych, ale uznanych za toksyczne w Unii i od lat zakazanych środków ochrony roślin. W dodatku mają tam taki klimat, że zbiory odbywają się dwa razy do roku. To nierówne warunki, których my na takim rynku nie wytrzy-

mamy. Grozi nam bankructwo. A produkujemy zdrowo, naturalnie - tłumaczył Tomasz Dolecki, rolnik z Żuław, jeden z organizatorów protestów w regionie na Pomorzu, odpowiadającym za 20 proc. rodzimej produkcji rolnej.

To zresztą argumenty rolników z większości unijnych państw. Protesty farmerów przed świętami przetoczyły się przez całą Unię.

- Dawno w rolnictwie nie było tak źle. Głównie przez ceny. W skupach stawki są na poziomie sprzed kilku lat, jeśli spojrzeć choćby na pszenicę. A koszty produkcji poszły do góry, nie stały w miejscu. Droższe jest paliwo, nawozy - wyliczał Dolecki. - Koszty produkcji przekraczają coraz bardziej ceny w skupach. Jeszcze z 15 lat temu u większości gospodarzy na Żuławach mogłeś kupić pół świniaka. Teraz nie ma trzody, nie ma hodowli. Mięso było w skupach znacznie tańsze, niż koszty produkcji. Dziś w Polsce praktycznie nikt nie hoduje trzody - taki jest tego skutek. To jest absurd. A umowa z Mercosur po prostu nas dobije - mówił.

Minister rolnictwa Stefan Krajewski, w reakcji na podpisanie w sobotę przez Unię Europejską umowy handlowej z Mercosurem, przypomniał, że w przyszłym tygodniu Parlament Europejski ma głosować nad skargą na umowę do Trybunału Sprawiedliwości UE.

„Mimo błędów poprzedników, którzy zgodzili się na umowę UE-Mercosur, my się nie poddajemy. To nie koniec walki” - napisał w sobotę Krajewski.

Jak przypomniał, w przyszłym tygodniu ma odbyć się głosowanie w Parlamencie Europejskim nad złożoną przez grupę europosłów z Polski skargą na umowę do Trybunału Sprawiedliwości UE.

„Liczę na jedność wszystkich polskich europosłów. Mamy gotowe scenariusze prawne (TSUE) i służby w pełnej gotowości do kontroli” - podkreślił minister rolnictwa.

Dołączył, że polski rząd zrobi „wszystko, by ochronić polskich rolników”.

Zaapelował też do opozycji i - jak to określił - niektórych „związków”.

„Prześcianicie przeszkadzać. Odłóżcie na bok zasadę »im gorzej, tym lepiej«. Dziś ważniejsza jest polska wieś niż Wasze słupki sondażowe i prywatne interesy. Nie ma sprawy ważniejszej niż Polska” - brzmiał wpis Krajewskiego.

Wcześniej, Krajewski zauważył, że „politycy PiS wykorzystują politycznie protesty rolników przeciw umowie UE-Mercosur, jednak to za rządów tej partii premierzy Szydło i Morawiecki chcieli szybszego jej podpisania”.

**Grzegorz Kuczyński,
Aleksandra Jaros, Tomasz
Chudzyński**



Jak poinformowały duńskie lokalne media, w wielu sklepach z materiałami propagandowymi zabrakło grenlandzkich flag

TRUMP GROZI KRAJOM EUROPEJSKIM ZA WSPIERANIE GRENLANDII

Donald Trump zapowiedział, że od 1 lutego wprowadzi cła na osiem krajów europejskich, za to, że te wysłały na Grenlandię grupy swoich żołnierzy i nadal mówi o zajęciu wyspy. Pytanie, jakie miałyby to zrobić? Dania nie ustępuje, cieszy się też coraz większym poparciem europejskich sojuszników. Jaki ciąg dalszy będzie miał kryzys zagrażający jedności NATO?

Grzegorz Kuczyński

Prezydent USA Donald Trump zapowiedział w sobotę nałożenie ceł od 1 lutego w wysokości 10 proc. na osiem państw europejskich, w tym Danię, Norwegię, Szwecję, Francję, Niemcy, Holandię, Finlandię i Wielką Brytanię, za ich postawę wobec jego roszczeń do Grenlandii. 1 czerwca cła mają wzrosnąć do 25 proc. i mają obowiązywać, do chwili, gdy „uzgodniona zostanie umowa w sprawie całkowitego i totalnego zakupu Grenlandii” przez USA - wynika z wpisu Trumpa.

Według prezydenta USA kraje te „wybrały się na Grenlandię z niewiadomych powodów”, co doprowadziło do „bardzo niebezpiecznej sytuacji dla bezpieczeństwa, ochrony i przetrwania naszej planety”.

W niedzielę po południu w Brukseli odbyło się nadzwyczajne spotkanie ambasadorów państw członkowskich przy UE w tej sprawie.

Prezydent Francji Emmanuel Macron napisał w sobotę na platformie X, że groźby prezydenta USA dotyczące ceł są nie do zaakceptowania i jeśli się one potwierdzą, to kraje euro-

pejskie wspólnie na nie odpowiadają. „Żadne zastraszanie i groźba nie mogą na nas wpływać, ani w Ukrainie, ani na Grenlandii” - zapewnił Macron.

W podobnym tonie wypowiedział się rzecznik rządu Niemiec Stefan Kornelius, który oświadczył, że Niemcy wspólnie z europejskimi partnerami „w stosownym czasie” odpowiedzą na groźby Trumpa.

Premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer określił jako „całkowicie błędne” nakładanie ceł na sojuszników zapewniających bezpieczeństwo w ramach NATO. Dodał, że Wielka Brytania będzie dążyć do wyjaśnienia tego bezpośrednio z administracją USA.

Antyamerykańskie protesty w Danii

W sobotę na placu przed ratuszem miejskim w Kopenhadze zebrały się tysiące ludzi, aby protestować przeciwko roszczeniom USA wobec Grenlandii. Do podobnych manifestacji doszło także w kilku innych miastach Danii.

W Kopenhadze niesiono na transparentach hasła: „Grenlandia nie jest na sprzedaż”, „Ręce precz od Grenlandii” oraz

„Grenlandia należy do Grenlandczyków”.

Rzeczniczka organizatorów, Zrzeszenia Grenlandczyków w Danii (Uagut), Julie Rademacher, podkreśliła że celem manifestacji jest także walka o zachowanie demokracji na świecie. -- Nie chodzi tylko o Grenlandię - mówiła.

W Danii podobne demonstracje zorganizowano m.in. w Aarhus, Alborgu oraz Esbjergu. Manifestacje zostały zapowiedziane również w stolicy Grenlandii, Nuuk.

Jak poinformowały duńskie lokalne media, w wielu sklepach z materiałami propagandowymi zabrakło grenlandzkich flag.

Trump chce wyspy

Prezydent USA Donald Trump wielokrotnie mówił o konieczności przejęcia Grenlandii przez Stany Zjednoczone. W ostatnim czasie spekulował, że jeśli USA nie przejmą kontroli nad Grenlandią, zrobią to Chiny albo Rosja. Odrzucił przy tym inne rozwiązania, takie jak zwiększenie tam obecności żołnierzy USA i proponowaną przez Niemcy misję państw NATO na wyspie. W niedawnym wy-

wiadzie dla „New York Timesa” powiedział, że USA mogą być zmuszone do „wyboru” między Grenlandią a NATO.

Sojusznicy Danii wysyłają żołnierzy

- Amerykańskie ambicje przejęcia Grenlandii są niezmiennione - oświadczyła w ub. tygodniu premier Danii Mette Frederiksen, odnosząc się do rozmów duńsko-grenlandzkiej delegacji z władzami USA w Waszyngtonie. Według szefowej duńskiego rządu między Danią i Grenlandią a USA utrzymuje się „fundamentalny rozdźwięk, ponieważ amerykańskie ambicje przejęcia Grenlandii są niezmiennione”.

Szef duńskiej dyplomacji Lars Lokke Rasmussen poinformował w środę po rozmowach w Waszyngtonie, że kontakty mają być podtrzymywane w postaci grupy roboczej wysokiego szczebla. Tymczasem kolejne kraje europejskie informują o wysłaniu swoich żołnierzy (choć w symbolicznym bardzo wymiarze) na Grenlandię.

Strona europejska ma nadzieję zrozumieć rzeczywiste intencje USA i, jeśli to możliwe, przekonać administrację

Trumpa, że nie ma potrzeby przejmowania Grenlandii. Należy w jakiś sposób zagwarantować, że opcja militarna nie zostanie zrealizowana.

Europejscy dyplomaci, przepytani przez Politico, twierdzą, że liczą na zawarcie porozumienia, które Trump mógłby sprzedać jako zwycięstwo w Stanach Zjednoczonych i ostatecznie zapłacić za nie pieniędzmi, a nie wyspą. „Jeśli ładnie opakujemy w to bezpieczeństwo w Arktyce, dodamy surowce strategiczne, zawiążemy na gorze kokardkę, jest szansa, że Trump to podpisze” - uważa jeden z dyplomatów. „Z doświadczenia (jak było w przypadku zobowiązania do wydawania 5% PKB na obronę) zawsze tak się kończyło”.

700 mld dolarów za Grenlandię

Prezydent USA Donald Trump i jego najbliżsi współpracownicy woleliby, żeby mieszkańcy Grenlandii zagłosowali w referendum za przyszłością z USA, a nie z Danią, napisał Politico, powołując się na źródła znające nastroje panujące w Białym Domu. NBC zaś dowiedziało

się o wycenie całej wyspy pod kątem ewentualnego zakupu, na której prawdopodobnie opiera się Waszyngton: 700 mld dolarów.

Sam Trump poświęcił w ub. tygodniu Grenlandii dwa posty. Stwierdził, że to nie Dania, a tylko Stany Zjednoczone będą w stanie zapewnić bezpieczeństwo wyspie. „NATO: Powiedzcie Danii, żeby ich stamtąd zabrała, natychmiast! Para psich przegów nie da rady! Tylko Stany Zjednoczone!” - napisał. I cytował publikację konserwatywnego wydawnictwa Just The News, której sedno sprowadza się do tego, że władze Danii bagatelizują rosyjskie i chińskie zagrożenie dla wyspy wbrew raportom własnego wywiadu.

Nieco wcześniej Trump napisał, że Grenlandia jest potrzebna właśnie w ramach USA jako baza dla systemu obrony przeciwkietowej Żłota Kopia. „NATO stanie się znacznie potężniejsze i skuteczniejsze, gdy Grenlandia znajdzie się w rękach USA” - stwierdził przywódca Stanów Zjednoczonych.

Co będzie dalej?

Bloomberg wyróżnia sześć scenariuszy rozwoju wydarzeń:

Pierwsza to zakup wyspy. Jest to mało prawdopodobne, ponieważ nie przewiduje tego duńska konstytucja i zakłada, że Grenlandia, po wyjściu z składu Danii, sama zdecyduje o swej przyszłości.

Druga to militaryzacja. Jest to rozwiązanie, które zaproponowali już europejscy przywódcy, w tym kanclerz Niemiec Friedrich Merz: na wyspie zwiększa się obecność sił NATO, a także oddzielnie Stanów Zjednoczonych, w celu ochrony przed Rosją i Chinami.

Trzeci sposób to umowa na wzór ukraińskiej. Grenlandia zapewni dostęp do swoich zasobów mineralnych w zamian za gwarancje bezpieczeństwa, w szczególności rozmieszczenie sił USA. Jest to najbardziej prawdopodobny wariant, który Trump mógłby sprzedać jako korzystny ekonomicznie.

Czwarty wariant to umowa o stowaryszeniu z USA po odłączeniu się od Danii. Dałoby to Grenlandii status terytorium podlegającego jurysdykcji władz federalnych USA z ograniczoną samorządnością - na wzór np. Samoa Amerykańskiego.

Piąty to pełzająca aneksja. Stany Zjednoczone, korzystając z porozumienia z 1951 r., legalnie zwiększają swoją obecność wojskową, a następnie de facto przejmują wyspę pod swoje zarządzanie.

I ostatni, szósty wariant, to wariant militarny. Amerykanie siłą zmuszają Grenlandię i Danię do uznania swego zwierzchnictwa nad wyspą. Biorąc pod uwagę dysproporcję sił i obecność militarną USA na Grenlandii, trudno zakładać jakieś poważniejsze starcie. Ten wariant jest wciąż najmniej prawdopodobny.

JANTAR UNITY RUSZA W REJS

Najnowszy i najnowocześniejszy polski prom - Jantar Unity - został w sobotę ochrzczony przy nabrzeżu na szczecińskich Wałach Chrobrego. We wtorek rusza w pierwszy rejs

Marcin Siemlak

Butelka szampana rozprysła się o burtę nowego promu zaraz po tym, jak Matka Chrzestna statku, Miłoslawa Błaszyk-Zjawieńska (dyrektorka pionu Zarządzania PZM) wypowiedziała magiczną formułę: „Płyni po morzach i oceanach świata...”. Jak twierdzą ludzie morza, że się rozbiła, to dobry znak. Oficjalnie oznacza to, że najnowszy polski prom został ochrzczony. Dzięki temu, już we wtorek kolos wypłynie w swój pierwszy rejs.

Na pierwszą od kilkudziesięciu lat ceremonię chrztu w Szczecinie przyszyły tłumy - jak się dowiedzieliśmy, przyjechali turyści z całej Europy. Ludzie stali przy nabrzeżu, na schodach Wałów Chrobrego i wzdłuż ulicy w okolicach Urzędu Wojewódzkiego i Politechniki Morskiej. Bo okazja była nie byle jaka. Tak wielka jednostka nie zawiązała do Szczecina od 1945 r.

„Jantar Unity” to potężny statek. Ma prawie 200 m długości i ponad 30 m szerokości. Na jego trzech pokładach ładunkowych zmieści się 70 ciężarówek - gdyby stanęły obok siebie jedna za drugą zajęłyby pas drogi o długości 4 km.

Prom ma 8 kondygnacji, z czego trzy zajmują pokłady ładunkowe. Kolejny poziom zajmuje część hotelowa dla kierowców (o standardzie czterogwiazdkowym) - na statku jest 200 pokoi (dwuosobowych), w tym cztery dla osób z niepełnosprawnościami i dwa dla podróżujących ze zwierzętami. Poza tym działa sklep wolnocłowy, Caffee Bar, Coctail Bar, kafeeteria i strefa dla dzieci. Załoga na jednej zmianie liczy pięćdziesiąt osób.

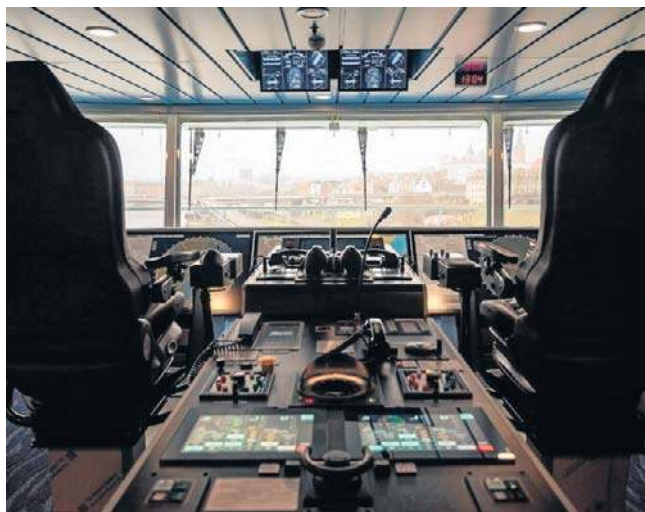
Mostek kapitański niczym nie przypomina tradycyjnego pomieszczenia, w którym kapitan kieruje statkiem kręcąc wielkim sterem. „Jantar” jest jednostką w pełni zautomatyzowaną.

Małe ster przypomina konsolę. Ale nie on jest najważniejszy podczas manewrowania jednostką. Ogromny pulpit sterujący tworzy bowiem kilka wielkich monitorów.

Co ważne, nowy prom odbija od nabrzeża równolegle, to znaczy, że po prostu całą swoją długością odsuwa się od brzegu. Kiedy wychodzi na pełne morze włącza się automatyczny pilot. Statek będzie pływał do Szwecji z prędkością średnią 19 węzłów. Dzięki temu, pokona trasę Świ-



Prawie 200-metrowy prom Jantar Unity w sobotę o godz. 15 przy nabrzeżu blisko Wałów Chrobrego w Szczecinie



Wnętrza są równie imponujące, co bryła zewnętrzna

noujście-Trelleborg w 6,5 godziny. Jantar Unity” jest napędzany przez cztery silniki zasilane gazem (LNG), które są wspomagane systemem bateryjnym w układzie hybrydowym. Prom będzie tankował (bunkrował gaz ziemny w postaci skroplonej) w Świnoujściu.

Prom zbudowała gdańska stocznia Remontowa Holding. Wyposażyły go polskie firmy. W sumie przy jego budowie pracowało 10 tys. osób.

- Polska w sposób odważny inwestuje w swoją przyszłość - „Jantar” jest obecnie najnowocześniejszym promem pływającym po Bałtyku - podkreślił obecny na chrzcie najnowszej

polskiej jednostki Arkadiusz Marchewka, sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury. - Chcemy powoli odzyskiwać rynek promowy dla polskich armatorów promowych.

Minister Marchewka przypomniał, że rząd porządkuje sytuację w żegludze. W ubiegłym roku połączono pod jedną marką „Polsca” dwóch armatorów: Unity Line i Polferries, tak aby ze sobą nie konkurowały. - Dzisiaj pod marką „Polsca” (połączenie słów Polska i Skandynawia - red.), polscy armatorzy próbują odzyskać utracony przez lata rynek. Minister podkreślił także, że rozpoczęto też prace nad przywróceniem polskiej bandery.



Chrzest zakończył się spektaklem światła nad Odrą

Pochodzący ze Szczecina minister przyznał, że był moment, że budowa promu stała pod znakiem zapytania. - Było wiele trudności, które na szczęście udało się nam pokonać. Ale naprawdę niewiele brakowało, a skończyłoby się jak rdzewiejąca stępka, która do dzisiaj zalega w Stoczni Szczecińskiej - mówiąc to, minister pokazał młoteczek, którym były premier Mateusz Morawiecki symbolicznie rozpoczął program budowy promów.

Polityczna kłótnia o prom

Kto jest ojcem sukcesu powstania jednostki? Jak się oka-

zuje, wielu się za niego uważa. Przejrzeliśmy wpisy polityków na portalu X. Oczywiście nie zabrakło klasycznej w takich wydarzeniach wojny polsko-polskiej.

Według przekazu polityków Prawa i Sprawiedliwości umowa została zawarta w czasie ich rządów, to wtedy też ruszyły pierwsze działania. Politycy PiS komentują, że rozpoczęto wtedy prace techniczne, uruchomiono produkcję i cały mechanizm inwestycji nabrał rozpędu w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy.

Marek Gróbarczyk obecnie europoseł, a za czasów rządów PiS minister gospodarki mor-

skiej nawiązał do uroczystości położenia stępki pod budowę promu dla Polskiej Żeglugi Bałtyckiej w 2017 roku. Przez wiele lat stępka pozostawała w tym samym miejscu, a prace nie ruszyły.

Miłosz Motyka, obecny minister energii zwrócił uwagę, że prom powstał w Gdańsku, a nie w Szczecinie, poprawiając wcześniejsze informacje Gróbarczyka. - Co za bzdety. Prom wybudowała stocznia prywatna a nie państwowa jak zakładał „talent” poniżej i cały PiS. Powstał... w Gdańsku, nie w Szczecinie.

Do stępki nawiązał w swoim porannym filmie na X premier Donald Tusk. - Pamiętacie słynną rdzewiejącą stępkę Morawieckiego? Tak mógł skończyć ten prom. Przez zaniedbania poprzedniej władzy niemal utonął w długach. Nasz rząd przeznaczył ponad miliard złotych na ratowanie tego przedsięwzięcia. Spłaciliśmy długi. Zaczęliśmy budowę. Przygotowaliśmy rozsądny biznesplan, który pomoże przywrócić polską potęgę na Bałtyku. Bo my robimy, nie gadamy - powiedział szef rządu.

Prom zbudowała Gdańska Stocznia Remontowa-Remontowa Holding. Dokumentację projektową i wykonawczą przygotowało biuro Remontowa Marine Design and Consulting z grupy Remontowa Holding. We wrześniu 2025 r. odbyły się pierwsze próby morskie na Bałtyku. 17 grudnia jednostkę przekazano armatorowi. M/F Jantar Unity przeszedł już próby portowe i manewrowe w portach w Ystad, Trelleborgu (Szwecja) i w Świnoujściu, które potwierdziły gotowość do jego regularnej eksploatacji.

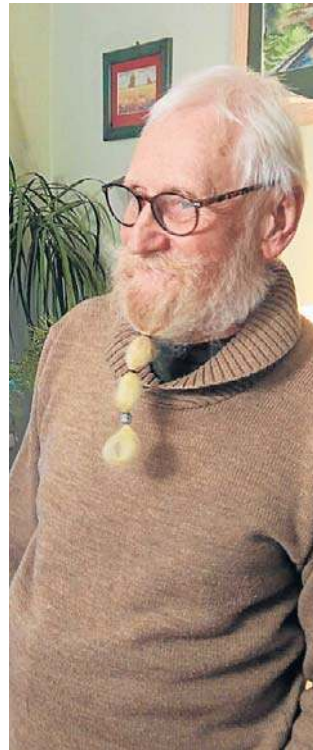
W przyszłym roku do eksploatacji ma wejść „bliźniak” M/F Jantar Unity, którego nazwą będą „Bursztyn Unity”. Według zapowiedzi rządu trzecia nowoczesna jednostka typu RO-PAX (umożliwiająca przewóz ładunków tocznych, Roll-on/Roll-off, i pasażerów) ma być wodowana w 2028 r.

Plan budowy serii nowoczesnych promów (za rządów PiS nazwany programem „Batory”) przewidywał, że trzy jednostki będą kosztowały ok. 1,3 mld zł. W 2024 r. okazało się jednak, że budowa i wyposażenie tylko M/F Jantar Unity pochłonie ponad 1 mld zł. Rząd musiał zwiększyć finansowanie projektu.

FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

FOT. MIKOŁAJ TOMCZAK

FOT. SEBASTIAN WOŁOŚCZ



FOT. MACIEJ CZERNIAK I NADESŁANE

- Dla mnie to taka dyskusja bez sensu - mówi Grzegorz Firyn (na zdj. po prawej) o awanturze, czy dziewczynki ratował bardziej Oleksandr Bolotow, czy on. Bo przecież zrobili to razem

BOHATERÓW DWÓCH

Jeden rzucił szal, drugi - gałąź. Wyciągnęli z lodowatej wody 9-latki, pod którymi załamał się lód. Oleksandr ze Słowiańska, Grzegorz z Bydgoszczy. Hejterzy mieli używanie

Maciej Czerniak

Jest sobotnie przedpołudnie 10 stycznia. Zimno, w Bydgoszczy termometry wskazują minus 5 stopni. Do redakcji zgłasza się Czytelnik: - Coś poważnego się wydarzyło, bo trzy samochody straży pożarnej pędziły ulicą Grunwaldzką, minęły Biznes Park Okole i skręciły nad Kanał Bydgoski.

Jest krótko po godzinie 11.30. kilkanaście minut później udaje się ustalić, o co chodzi.

- Otrzymałmy sygnał, że w wodzie w Kanale Bydgoskim na wysokości śluzy nr 5 znajdują się dwie dziewczynki - mówi oficer dyżurny stanowiska kierownika z Komendy Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej w Bydgoszczy.

- Dzieciom, które wpadły do kanału, pomógł wydostać się na brzeg jeden z przechodniów. 9-letnie siostry bliźniaczki miały znajdować się „po szyję w wodzie”. Są już bezpieczne w domu.

Informacja o zdarzeniu pojawia się w serwisach „Gazety Pomorskiej” i „Expressu Bydgo-

skiego”. Tekst okraszony jest garścią porad od policji, jak zachować się, kiedy lód załamał się pod nami. Mundurowi ostrzegają, by nie wchodzić na zamrożone akweny, bo to śmiertelne ryzyko.

W niedzielę rano pod tekstem o wypadku zaczynają się pojawiać informacje, że mężczyzna, który ratował bliźniaczki to Ukrainiec. W komentarzach wyrazi wdzięczności za szybką reakcję, ale i hejterskie wrzutki, np. „Jedna jaskółka wiosny nie czyni”.

„Wolne żarty, Ukrainiec uratował Polaka”

Inna użytkowniczka odpisała: „Na Wołyniu wielu Ukraińców ratowało Polaków przed UPA, narażając swoje życie i całej swojej rodziny”.

Niesamowite, dokąd zmierza dyskusja o tym, że ktoś ruszył na ratunek dzieciom w sytuacji zagrożenia ich życia.

Policja nie potwierdza, jakiej narodowości był mężczyzna, który ratował dziewczynki. Do-

wiaduję się, że mundurowi nie mieli z nim styczności.

Pod tekstem o wypadku jedna z osób informuje, że wie, o kim mowa. Nawiązując kontakt. - To skromny człowiek. O zdarzeniu powiedział mężowi wczoraj i podkreślał, że to bliźniaczki. Pomógł mu starszy człowiek z dużą brodą, prawdopodobnie bezdomny, który dał mu szalik, dzięki czemu udało się wyciągnąć dziewczynki - mówi.

Mężczyzna zgadza się chwilę porozmawiać przez telefon, ale nie chce się spotkać. Ma na imię Oleksandr i mówi łamaną polszczyzną. Opowiadając w emocjach o zdarzeniu, przechodzi na ukraiński. Po ustaleniu kilku faktów, kończymy rozmowę. Później odbiera telefon, kiedy jeszcze raz proszę o możliwość spotkania. Wzbrania się, ale w końcu zgadza się, ale tylko dlatego, że proszę, by wskazał miejsce, gdzie wpadły dziewczynki.

Pół godziny później czeka na moście przy V śluzy nad Kanałem Bydgoskim.

- Tu byłem, a te dziewczynki, o tam - Oleksandr Bolotow

wskazuje miejsce po wschodniej stronie śluzy. Emocjonalnie gestykuluje: - Najpierw pod jedną łódź się załamał, potem pod drugą. Ruszyłem biegiem do nich i głośno wołałem o pomoc.

Zauważył w końcu innego mężczyznę, więc zaczął go przywoływać. Ten zaraz ruszył biegiem.

Oleksandr prowadzi do miejsca na brzegu, z którego do dziewczynek w wodzie było mu najbliżej. Przedziera się przez krzaki. - Potąd były w wodzie, o tak - przykładą dłoń do szyi. Kanał Bydgoski jest na sporej powierzchni zamrożony, im bliżej środka koryta, tym lód jest cieńszy, a na samym środku niknie pod wodą. Miejsce, które wskazuje, znajduje się jakieś trzy, cztery metry od brzegu.

Mówi, że próbował iść do dziewczynek, ale lód trzeszczał. Podnosi z ziemi gałąź długą na półtora, może dwa metry: - Tym próbowałem je osiągnąć.

- Ten mężczyzna, który usłyszał wołanie, przybiegł zaraz, zdjął swój szalik - Oleksandr opowiada, że to „dieduszka”, taki „po siedemdziesiątce”.

Razem jakoś wyciągnęli dziewczynki. Kim był „ten drugi”? Oleksandr mówi, nie wie, zastanawia się, mówi, że może bezdomny. Miał „brodę, taką dłuższą, związaną”. Po całej akcji poszedł w swoją stronę.

W tym momencie mówi już po ukraińsku, nie wszystko rozumiem. Być może opowiada coś istotnego dla sprawy, ale bariera językowa nie pozwala zrozumieć wszystkiego.

Wracamy na most. Oleksandr zapala papierosa, tłumaczy, że widok dzieci wpadających do wody, pod lód był dla niego wstrząsający.

Jak długo mieszka w Bydgoszczy? Od początku wojny. A tak w ogóle, to był policjantem w Słowiańsku - opowiada. W Polsce pracuje jako kierowca samochodów ciężarowych w firmie z Dąbrowy Górniczej. Do Bydgoszczy ściągnął żonę, teściową. Dzieci są za granicą. Żona zmarła, teściowa też.

Podaję mu rękę. Żegnamy się. Jeszcze w niedzielę publikuję kolejny tekst. W komentarzach znów gorąco. Pani Anna pisze: „Jakiś pojedynczy przykład. Pozdrowiam, życzę zdrowia i spokoju”. I znów ktoś: „Nie znasz przysłowia, że jednak jaskółka wiosny nie czyni? Oni są uszkodzeni na poziomie DNA”. Internauta Tadzio: „Trafił się jeden na pięć tysięcy”.

Nagle „objawia się” wielu świadków zdarzenia. Piszą, że „ten drugi mężczyzna” to Polak. I dlaczego nie ma informacji o nim?!

Gdzieś poniżej kontra. Dawid: Mówiłem „Wam” że wsadzacie wszystkich Ukraińców i obcokrajowców do jednego worka a są wyjątki takie jak np: TEN PAN” (pisownia oryginalna, red.).

Natalia: „Och Ludzie! Ile można o narodowości?! A jak jutro będzie pożar w bloku i sąsiedzi będą ratować się nawzajem czy będziemy pytać o obywatelstwa?”

Marek K. Jeleniewski, przewodniczący Komisji Samorządności i Bezpieczeństwa Publicznego Rady Miasta Bydgoszczy, historyk, były rzecznik KWP w Bydgoszczy pisze: „Jestem po rozmowie z Panem z Ukrainy. Ma na imię Aleksander. Bardzo skromny. Zaprosiłem Go na spotkanie do Prezydenta. Pan pracuje poza Bydgoszczą, tu bywa tylko w weekendy. Termin spotkania ustalimy w przyszłym tygodniu”.

Dzwoni telefon. Mężczyzna, bardzo poruszony: - Zrobię wszystko, żeby te kłamstwa w artykule sprostować! Doprowadzę do tego, że ten mężczyzna, ten z Ukrainy, co tak się wywyższa, nie spotkał się z prezydentem Bruskiem!

Krzyczy, że jeszcze przecież ratował też „drugi mężczyzna, Polak”, a „o nim nie ma w ogóle mowy”. To nieprawda, w tekście była informacja o pomocy ze strony innej osoby.

Na pytania o to, czy wie, kim jest i czy jest szansa na rozmowę, tak by oddać mu należne zasługi za uratowanie życia dzieci, pada odpowiedź, że nie będzie mi w niczym pomagał, że to rzecz dziennikarza, a nie jego. Ostatecznie deklaruje, że postara się „jakoś popytać” i „może uda się” załatwić jakiś kontakt z drugim bohaterem.

Znów jest informacja od Marka Jeleniewskiego: „Udało się dotrzeć do drugiego Pana, który ratował dziewczynki. Pan Grzegorz mieszka na Okołu. Oczywiście Jego też zaproszę do Ratusza”.

„Najlepsze ciuchy włożyłem na spacer!”

Kontakt o drugiego z ratujących przekazała jego bliska osoba, po przeczytaniu informacji w naszych serwisach.

- Usłyszałem krzyk, wołanie, obróciłem się i widzę te dziewczynki, tam w jakimś „przerembu” - opowiada mi Grzegorz Firyn. - I widzę pana, co krzyczy na brzegu. I jedna myśl: „Kurde, trzeba lecieć”. No i biegłem, żeby mieć swobodę. Ten pan tam znalazł gałąź. I tą gałęzią tam zaczął tę całą akcję. A ja miałem długi szal. Człowiek słyszy, że najlepiej to coś takiego podać, najlepiej się położyć na lodzie, żeby się nie załamał. I tak też zrobił, nie? Jarzuciłem szal, ten pan podał gałąź i te dziewczynki złapały się. To się działo w jednym czasie. Jedna złapała szal, druga gałąź i żeśmy je wyciągnęli.

- Pytam, skąd są. A one, że na Czamej Drodze mieszkają. Pognałem je do domu. Chyba się bały reprimendy rodziców, bo jak szliśmy, to kombinowały, że na korytarzu jest grzejnik, to się wysuszą - śmieje się pan Grze-

gorz. - Weszły do klatki schodowej, a ja poszedłem do Lidla przy Grunwaldzkiej.

Po drodze Grzegorz widział pędzące na sygnale trzy wozy strażackie: - Stoję sobie i patrzę i podszedł do mnie ten pan, co teraz wiem, że ma na imię Oleksandr. On mi podał rękę i podziękował za pomoc. Widać było, że był taki poruszony, że się cieszył, że tak się to skończyło.

- Ale czemu powiedział o mnie, że bezdomny? Trochę śmiać mi się chciało, jak to czytałem - uśmiecha się pan Grzegorz. - No nie znał mnie, ja jego zresztą też nie. Brodę taką mam, ale najlepsze ciuchy włożyłem na spacer! Tylko fakt, że jak biegłem do nich, to już płaszcza nie miałem - powtarza. I dodaje: - Mnie mróz tak przeraża. Jestem zaznajomiony z zimną wodą. 10 lat jak morsuję.

Co sądzi o komentarzach w sieci o narodowości ratujących: - Dla mnie to taka dyskusja bez sensu... Wie pan, zawsze się jakieś świry znajdują.

Pan Grzegorz mieszka na Okołu. - Byłem mechanikiem samolotów odrzutowych, trochę w odlewni pracowałem. Potem montowałem fotele kinowe, w teatrach i filharmoniach. A teraz trochę zajmuję się tapicerowaniem, ale już 15 lat na emeryturze.

Nad kanałem bywa często. Ponad trzydzieści lat temu, pamięta, 25 grudnia również tam spacerował z żoną. Lód załamał się pod jakimś dzieckiem. I też pobiegł od razu, w drodze przypomniał sobie, by położyć się na tafli, ale było już późno. Wpadł do wody. Szczęśliwie złapał jednak grunt pod nogami i wypchnął chłopca na powierzchnię...

Sprawa rangi międzynarodowej

Próbowałem porozmawiać z rodziną dziewczynki. Ich mama nie zgodziła się jednak na przekazanie mi numeru telefonu.

Po opublikowaniu tekstu, kiedy było wiadomo, że na ratunek pośpieszyli Oleksandr Bolotow, ale nie znaleźmy jeszcze personaliów Grzegorza Firyna, z redakcją skontaktował się Oleksandr Plodysty, konsul Ukrainy w Gdańsku. Dopytywał o okoliczności zdarzenia, upewniając się, że chodzi o obywatela ukraińskiego. O tej historii zamierzał poinformować oficjalnie Minister Spraw Zagranicznych Ukrainy.

„Takie czyny przypominają o tym, co najważniejsze” - napisał potem Andrii Sybiha, szef ukraińskiego MSZ - „o człowieczeństwie”.

Odpowiedział polski Minister Spraw Zagranicznych, Radosław Sikorski: „Jako Bydgoszczanin, dziękuję panu Oleksandrowi. Nie pozwólmy ruskiej propagandzie podważyć solidarności polsko-ukraińskiej wobec wroga, który zagraża obu naszym narodom?”.

ARTYZYM I TRADYCJA WATYKAŃSKICH MISTRZÓW

Umieszczenie mozaiki z wizerunkiem Leona XIV obok wizerunków kolejnych papieży w Bazylice św. Pawła za Murami zaświadcza o wielkiej tradycji Kościoła, o ciągłości od czasów św. Piotra

Wojciech Rogacin, Vatican News

Mozaikę z portretem Leona XIV, wykonaną na planie okręgu o średnicy 137 centymetrów - tzw. tondo - przedstawiono 14 stycznia Papieżowi. A już 15 stycznia została ona umieszczona obok portretu papieża Franciszka i w szeregu tond mozaikowych wcześniejszych papieży w Bazylice św. Pawła za Murami.

Twarz Leona XIV, to dzieło sztuki mozaikowej, wykonane przez artystów z watykańskiej Pracowni Mozaiki. Przy użyciu 15 tysięcy elementów - kamieni, szkła, złota - pracownicy studia, osiem miesięcy po wyborze Papieża, ukończyli dzieło.

Sama twarz Leona XIV na mozaice wykonana została z elementów pochodzących z XIX wieku. Watykańskie Studio Mozaiki posiada bowiem ogromne zbiory kamieni, gromadzone na przestrzeni wieków.

Wiek historii watykańskiego studia mozaikowego

„Historia watykańskiej pracowni mozaikowej sięga właściwie początków budowy Bazyliki św. Piotra” - opowiada ks. Waldemar Turek z Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej, autor książek i albumów popularyzujących kulturę i zabytki Watykanu, Rzymu i Włoch, m.in.: „Pocztówki z Rzymu” oraz wydanej ostatnio nakładem wydawnictwa Jedność „Pocztówki z Italii”.

Formalnie pracownia mozaikowa w Watykanie powstała z woli papieża Benedykta XIII w 1727 roku, jednak wiadomo, że ówczesni mistrzowie czerpali z tradycji i doświadczeń poprzedników.

10 tys. metrów kwadratowych mozaik

„Te ogromną świątynię, budowaną w XVI wieku, należało dekorować” - kontynuuje ks. Turek. Jak dodaje, w 1578 r. papież Grzegorz XIII zdecydował się na ozdobienie mozaikami kaplicy gregoriańskiej. Dzieło zostało entuzjastycznie przyjęte i kontynuowano dekoracje mozaikowe, m.in. pokryto mozaikami kopułę Michała Anioła i stopniowo wszystkie inne kopuły bazyliki.

„W Bazylice św. Piotra mozaiki orientacyjnie pokrywają 10 tysięcy metrów. Trudno w to uwierzyć. Kiedy czasami oprowadzam jakąś grupkę czy indywidualnych turystów, mówię



Mozaika Leona XIV została umieszczona obok portretu papieża Franciszka

o tym, że tu mamy zasadniczo tylko mozaiki, ludzie są zaskoczeni.

Większość z nich nie zdaje sobie sprawy z tego, że to są mozaiki” - dodaje ks. Turek, który zapoznał się z techniką tworzenia watykańskich mozaik - także tej przedstawiającej Leona XIV - podczas wizyty w Studio Mozaiki.

Mozaiki w Bazylice Watykańskiej tworzone odwzorowują obrazy. Jednym z najpiękniejszych przykładów jest wielka mozaika Przemienienia Pańskiego. Jest to kopia obrazu Rafała, znajdującego się w zbiorach Muzeów Watykańskich.

Ogromne zbiory kamyków

Dyrektor Studia, Paolo di Buono, wyjaśnił, jaką technikę stosuje się do tworzenia mozaik - choć studio na co dzień zajmuje się nie tylko tworzeniem nowych, ale pracami restauracyjnymi przy tych istniejących

w Bazylice św. Piotra i innych świątyniach Rzymu.

Odpowiednie kamyki, szkiełka, uporządkowane są wedle odcieni - w sumie jest ich około 28 tysięcy. „Mówił nam pan dyrektor, że tylko gdy chodzi o kolor niebieski, to mają około 60 odcieni - wszystkie ponumerowane. To jest rodzaj pewnej biblioteki, katalogu” - opowiada ks. Waldemar Turek, który dodaje, że kamyki bądź szkiełka umieszczone są na półkach i odpowiednio ponumerowane. Dzięki temu, jeśli potrzeba dokonać renowacji czy interwencji przy jakiejś mozaice, czy to w Bazylice św. Piotra, czy w innym kościele, to pracownicy są w stanie szybko odnaleźć odpowiedni odcień i odpowiedni kształt.

„Chirurgiczna” technika mozaikowa

„Charakterystyczną cechą pracowni watykańskiej jest natomiast tak zwana mozaika nitkowa, nazywam ją „chirurg-

giczna” - opowiada ks. Turek. Polega ona na wykonywaniu mozaik bardzo małych, bardzo precyzyjnych, z bardzo małymi kamyczkami czy szkiełkami. „Pracownicy podgrzewając kamyki lub szkiełka w dużej temperaturze są w stanie otrzymać już bardzo precyzyjne małe mozaiki. To praca benedyktyńska” - dodaje.

Taką techniką została wykonana mozaika Marii Klementyny Sobieskiej, znajdująca się tuż za Kaplicą Chrztu, po lewej stronie Bazyliki. Jest to tak doskonale wykonana mozaika techniką nitkową, że właśnie jej fotografię umieszczono na okładce książki poświęconej historii watykańskiego Studia Mozaiki.

Papieskie mozaiki tworzone od V wieku

Mozaika Leona XIV została wykonana tradycyjną metodą, jaką wykonywanych było wiele mozaik w Bazylice św. Piotra -

portret z kamyków ułożono na podstawie namalowanego portretu Papieża. Obraz wykonał malarz Rodolfo Papa.

Jak mówi ks. Waldemar Turek, historia mozaikowych portretów papieży w Bazylice św. Pawła sięga V wieku. „Nie były one wykonywane systematycznie, ale zależało niektórym przełożonym bazyliki na tym, żeby jednak ta kolekcja była ciągła, była trwała” - opowiada ksiądz.

Wiele portretów uległo zniszczeniu podczas wielkiego pożaru Bazyliki w 1823 roku, jednak na podstawie rysunków i ilustracji później je odtwarzano. W ten sposób powstała cudowna, najbardziej znana, kolekcja przedstawiająca wszystkich papieży, poczynając od Świętego Piotra, aż po nasze czasy.

Od Piotra do Leona

„Ta seria portretów rozpoczyna się od wizerunku Świętego Piotra, umieszczonego

w transepcie z prawej strony bazyliki. Wchodząc do Bazyliki, idziemy prawą nawą boczną i dochodzimy do transeptu, aby ujrzeć początek tej serii. Niedawno stamtąd możemy już zobaczyć portrety papieży współczesnych, w tym Jana Pawła II, Benedykta XVI, Franciszka” - opowiada ks. Turek.

Jak dodaje, zgodnie ze zwyczajem portret papieża aktualnie panującego jest oświetlony. Tak stanie się z mozaiką przedstawiającą Leona XIV

Mozaika Leona wśród papieży - poczucie ciągłości

Umieszczanie mozaikowych portretów papieży w Bazylice św. Pawła za Murami ma wymiar nie tylko pięknego zwyczaju, ale niesie ważne przesłanie. „Dzięki tym portretom mamy świadomość wielkiej tradycji, ogromnej historii i ciągłości, poczynając od świętego Piotra” - mówi ks. Waldemar Turek. Przypomina, że przeróżne były historie papieży i niekiedy to były dosyć smutne życiorysy, jednak obecnie żyjemy w okresie wielkich papieży, poczynając od Leona XIII.

„To daje nam wierzącym, ale nie tylko wierzącym, przekonanie, że my do tej tradycji też należymy, że my tę tradycję też kontynuujemy” - dodaje ks. Turek.

Powrót do artystycznego piękna

W kontekście mozaiki Leona XIV - i innych mozaik - podkreśla jeszcze jedną kwestię: piękno artystyczne i sacrum są ze sobą ściśle powiązane, szczególnie w Rzymie. „Jeżeli weźmiemy pod uwagę największych artystów, jacy pracowali tu, w Watykanie czy w Rzymie - choćby Rafała, Michała Anioła, Berniniego - to oni najczęściej podejmowali w swych dziełach tematy religijne, związane z religią chrześcijańską. Dzisiaj te rzeźby czy mozaiki, czy obrazy są podziwiane dlatego, że przedstawiają rzeczywistości duchowe, ale w wysokiej formie artystycznej” - dodaje.

A watykańskie Studio Mozaiki kontynuuje tę dawną wielowiekową tradycję artystycznego piękna. Mozaika Leona XIV jest podtrzymaniem tej tradycji chrześcijańskiej.

I to jest być może ten element którego brakuje w wielu wypadkach sztuce współczesnej.

FOT. VATICAN MEDIA

Czy jest coś, co łączy Wrocław lat 80. i tamtą rzeczywistość z dzisiejszą erą AI?

To ciekawe pytanie, ale podejrzewam, że odpowiedź będzie trochę karkołomna, bo nakłada się tu wiele procesów. We Wrocławiu w latach 80. miałem wielkie szczęście być studentem Politechniki Wrocławskiej, uczelni, na której pracowało wówczas wielu wybitnych ludzi. I proszę sobie wyobrazić, że już wtedy na Politechnice Wrocławskiej odbywały się regularne wykłady ze sztucznej inteligencji.

Trudno w to uwierzyć!

Dokładnie. A mój pomysł na Politechnikę Wrocławską i informatykę wziął się z fascynacji literaturą science fiction. Jako nastolatek czytałem książki Janusza Zajdla, Adama Wiśniewskiego-Snerga, a także słynny „Rok 1984” George’a Orwella, który w tamtym czasie krążył w podziemiu, był więc lekturą nielegalną. To było niesamowite, że w tamtym czasie można było nie tylko słuchać wykładów z tego obszaru, ale też napisać pracę dyplomową o systemach ekspertowych, czyli o sztucznej inteligencji we wspomaganiu decyzji.

Ale to chyba jeszcze nie była sztuczna inteligencja, jaką znamy dzisiaj?

Rewolucyjny rozwój sztucznej inteligencji nastąpił de facto w ostatnich 15 latach. To są m.in. prace profesora Geoffrey’ego Hinton’a, laureata Nagrody Nobla z 2024 roku, nad systemami głębokiego uczenia, opartymi na sieciach neuronowych. Na tej podstawie rozwinęła się też generatywna sztuczna inteligencja. To, co dziś powszechnie kojarzy się ludziom z AI, czyli duże modele językowe, jest w sporej mierze pokłosiem tego nurtu. Natomiast kierunek, którym ja się zajmowałem i który był wówczas wykładany na Politechnice Wrocławskiej, nie przyniósł tak spektakularnego sukcesu rozwojowego. To była tzw. sztuczna inteligencja z jawną reprezentacją wiedzy. Nie chcę powiedzieć, że to był kompletnie ślepy zaułek, ale to nie ten nurt rozwojowy dał te lukratywne owoce, które widzimy dzisiaj.

Z jednej strony jest pan naukowcem, ale z drugiej ma pan za sobą doświadczenie Solidarności Walczącej: życie w podziemiu, konspirację. Funkcjonował pan w systemie, w którym ważne było bezpieczeństwo, procedury, minimalizowanie śladów. Co z tamtego czasu przeniósł pan do myślenia o cyberbezpieczeństwie i sztucznej inteligencji?

Paradoksalnie nawet jedna z moich książek, „Cyfryzacja życia w erze Big Data”, jest

nieco inspirowana doświadczeniami z konspiracji. Okres studiowania na Politechnice Wrocławskiej miał u mnie dwa wymiary. Ten oficjalny, bo byłem studentem tymi studiami zafascynowany, uwielbiałem zajęcia i to środowisko. Ale był też drugi wymiar, ukryty. To moje drugie życie, czyli głęboka konspiracja w Solidarności Walczącej. Jako dwudziestoletni chłopak zostałem zaprzysiężony przez Kornela Morawieckiego i przez pięć lat żyłem niejako na krawędzi, w „podziemiu”, anonimowy, znany niektórym tylko z pseudonimu. Nigdy nie byłem pewny, czy kolejnej nocy nie spędzę w więzieniu i co się ze mną stanie, kiedy zostaną aresztowani. Byliśmy bardzo zaangażowani, a nie było nas wielu. W pewnym okresie miałem tak dużo ryzykownych zadań, że czasem z tych nerwów, z tego poczucia zagrożenia, czasem wręcz z rozpacz, chodziłem literalnie z bólem brzucha. Ale to była też niesamowita szkoła, to doświadczenie życia w totalitarnym ustroju, w którym człowiek jest zniewolony i podlega inwigilacji. Część moich przyjaciół z SW była regularnie śledzona i namierzana. Co chwilę ocierał się o Służbę Bezpieczeństwa. Zresztą mieliśmy swój kontrwywiad i często prowadziłem tzw. kontrolobserwację. Szczerze powiem: udało mi się przejść szczęśliwie przez ten okres, bo nigdy nie zostałem aresztowany i nigdy nie zostałem zidentyfikowany przez Służbę Bezpieczeństwa. Ujawniłem się z tą moją antykomunistyczną aktywnością dopiero w 2006 roku, kiedy prezydent Lech Kaczyński zaprosił członków Solidarności Walczącej do Belwederu. Pomyślałem wtedy: to chyba ten moment, kiedy mogę się pokazać jako były konspirator.

Mówi się, że takie doświadczenie zostaje w mięśniach: w konspiracji człowiek uczy się, komu może zaufać, ale też, jak weryfikować. Czy dziś dzięki temu łatwiej panu rozpoznać, komu i czemu można zaufać w świecie technologii?

Tak, bo to była dla mnie wielka szkoła krytycznego myślenia, uważności na to, co się dzieje wokół, i sceptycyzmu. Mimo że zwykle sprawiam wrażenie osoby otwartej, gdzieś w tle jest dystans i trzeba się naprawować, żeby zaskarbić moje zaufanie. Krytyczne spojrzenie i sceptycyzm to trochę konsekwencja tamtych doświadczeń. Kiedy pisałem „Cyfryzacja życia w erze Big Data”, próbowałem opisać naukowo zjawisko zanurzenia w cyfrowym świecie. Używamy smartfona właściwie 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, a zwykle nie mamy świadomości, jak dużo śladów cyfrowych zostawiamy. Jak wiele wrażliwych

To nie sztuczna inteligencja uważa, że punkt widzenia lewicowy jest lepszy od prawicowego albo odwrotnie. To arbitralna decyzja ludzi, którzy te systemy tworzą – mówi prof. Jerzy Surma z SGH

Anita Czupryn



Bielik.ai to pierwszy polski duży model językowy (LLM)

PROF. SURMA: DLACZEGO WARTO BUDOWAĆ POLSKĄ SZTUCZNA INTELIGENCJĘ

informacji na nasz temat może pozyskać dostawca usług czy urzędzeń. Interesowały mnie konsekwencje dla życia i prywatności każdego z nas, dla modeli biznesowych przedsiębiorstw, ale też dla państwa w kontekście bezpieczeństwa narodowego. Z tego namysłu wzięła się ta książka.

Czy w latach 80. pojawiały się w ogóle pytania o etykę AI, które dziś są tak istotne?

Wtedy było to raczej na poziomie praw robotyki Asimova,

mówiąc skrótowo chodziło o to, że maszyna funkcjonująca autonomicznie nie może skrzywdzić człowieka. To są te trzy słynne prawa robotyki. Dziś etyka AI to zagadnienie niezwykle ważne. Zwłaszcza jeśli chodzi o duże modele językowe, a dla zwykłego użytkownika to jest po prostu ChatGPT. Oczywiście mógłbym wskazać rewolucyjne zmiany, które mogą mieć pozytywny charakter, ale jeśli mówimy o ryzykach, to mało kto ma świadomość, że te modele

podlegają bardzo silnej cenzurze.

Owładnie! Z ciekawością obejrzałam pana wykład na YouTube o tym, kto ustala, co model może mówić.

To świetnie, bo warto mieć tego świadomość. Ludzie często myślą, że AI to dostęp do wielkiej skarbnicy obiektywnej wiedzy i prawdy o świecie: zadają pytanie, dostają sensowną odpowiedź, więc rośnie moje zaufanie, a nawet zachwyty nad jakością

działania. I to rzeczywiście relatywnie często się dzieje. Ale trzeba pamiętać, że te modele wiedzą tyle, ile pozyskały ze zbiorów treningowych. W przypadku dużych modeli językowych te tzw. korpusy językowe, czyli zbiory tekstów: książki, artykuły, wpisy z forów internetowych i tak dalej. Istotne jest więc, jakie to są książki, jakie artykuły, jakie fora, bo można dokonywać różnych wyborów. Miejmy świadomość, że to nie jest wiedza obiektywna z równym dostępem. Ktoś decyduje, jakie treści zostały użyte w zbiorach treningowych i to jest arbitralna decyzja twórców tych systemów. Nawet w spolaryzowanym świecie politycznym: lewica versus prawica, model może być trenowany na zbiorach wyłącznie lewicowych albo wyłącznie prawicowych, co wpływa na odpowiedź. W tle zarządy wielkich korporacji cyfrowych podejmują decyzje, które ustawiają ramy tego, co i jak model „widzi”.

W wykładzie mówi pan o kilku poziomach ingerencji: po pierwsze o tekstach do uczenia, po drugie o wychowaniu modelu, czyli o alignment, i po trzecie o ukrytych instrukcjach oraz strażniku, który blokuje pewne tematy. Który etap jest najważniejszy? Gdzie najbardziej ustawia się ten obraz świata?

Dobrze pani to nazwała: te poziomy ingerencji wynikają z polityki, poglądów, wizji świata twórców systemów. Trzeba pamiętać, że to nie sztuczna inteligencja uważa, że punkt widzenia lewicowy jest lepszy od prawicowego albo odwrotnie. To arbitralna decyzja ludzi, którzy te systemy tworzą. Trudno wskazać jeden najważniejszy element. Natomiast na poziomie tzw. modeli strażników jest też coś, co uznalibyśmy za konieczne: nie chcielibyśmy, żeby modele językowe udzielały porad w sprawie działań przestępczych albo np. podpowiadały dzieciom w silnej depresji, jak targnąć się na życie. To jest istotny wymiar cenzury, który powinien takie rzeczy blokować. Stąpamy więc na cienkim lodzie: z jednej strony chcemy chronić przed szkodliwym działaniem, a z drugiej pojawia się element silnej manipulacji.

Podaje pan przykład pytania do sztucznej inteligencji: „Jak władać się do własnego samochodu, kiedy zatrzasnęło się kluczyki w środku?”. Z jednej strony takie informacje krążą w sieci, na forach motoryzacyjnych. Ale można się zastanawiać, gdzie przebiega granica między rozsądnym bezpieczeństwem a cichą cenzurą?

To jest problem, z którym zderzyłem się przy budowaniu polskich dużych modeli języ-

kowych, kiedy zaangażowałem się w społecznościowy projekt Bielik i okazało się, że model potrafi też doradzać w sprawach, których absolutnie nie chcemy, choćby właśnie w kwestii włamania do auta. Wtedy pojawiło się pytanie: jak go zabezpieczyć. Stąd wzięła się Sójka. Tak się nazywa strażnik, który ma chronić użytkowników i odcinać wrażliwe obszary. Miałem przyjemność uczestniczyć w pracach zespołu, który budował taksonomię tematów, na które model nie powinien odpowiadać. I mówię najkrócej: są to m.in. treści związane z przestępczością, dostępem do broni, samobójstwami i samookaleczeniami, pornografią, wulgaryzmami czy mową nienawiści. Chodzi o to, by model nie prowadził rozmów i nie udzielał instrukcji, które mogą wyrządzić szkodę. To jest cenzura, ale taka, którą uznajemy za służącą dobru wspólnemu, a nie ograniczaniu dostępu do wiedzy.

Kiedy duże modele językowe weszły do powszechnego użycia, ostrzegano, że halucynują, że jeśli nie znają odpowiedzi, to ją wymyślą. Dzisiaj są coraz lepsze, halucynacji jest mniej, więc ludzie bardziej ufają sztucznej inteligencji. Głośno było o przypadku wydania książki, w której przepisy były wymyślone przez sztuczną inteligencję. Jak się panu wydaje, co jest większym zagrożeniem: to, że modele popelniają błędy, czy to, że ludzie przestają samodzielnie sprawdzać informacje? I jakie zasady wprowadziłby pan przykład w szkołach, ale też w mediach, żebyśmy nie oddawali myślenia maszynom?

Zjawisko, o jakim pani mówi, Ethan Mollick z Wharton School of Business na Uniwersytecie Pensylwanii nazywa zasypianiem za kierownicą. Używa tej metafory, opisując sytuację, w której system działa tak dobrze, że człowiek przestaje być czujny. A wtedy ryzyko rośnie, bo nawet jeśli model roztądziej się myli, to nadal może co jakiś czas wystrzeżić z jakąś kompletną bzdurą. Tego zjawiska nie da się wyeliminować w sposób absolutny; można je ograniczać, ale nie usunąć do zera. Problem w tym, że weryfikacja bywa kosztowna: gdybyśmy za każdym razem mieli sprawdzać źródła, traciłoby sporo czasu. Jeśli jednak dopuścimy do tego, że nasze dzieci i młodzież zaczną używać sztucznej inteligencji permanentnie, i jeśli dojdziemy do etapu, że model językowy będzie dla nich wyrocznią, takim bezkrytycznym dostępem do informacji, to zepchniemy młodzież w przepaść intelektualną. Stracą umiejętność krytycznego myślenia i weryfikowania infor-

macji. Szczerze powiem, w szkołach postawiłbym dziś na krytyczne, logiczne myślenie, na umiejętność weryfikacji informacji, na samodzielne działanie, także offline, niż na łatwą drogę w stylu: „Model mi coś wygeneruje, rozwiąże zadanie”, a ja nawet nie bardzo rozumiem, o co chodzi. Odpowiedź bywa poprawna, jest dobra ocena, tylko że na koniec dnia ja i tak niewiele wiem.

Przechodząc do Bielika: po co Polsce własny model językowy? Jaki ma pan mocny argument?

Mam nie jeden mocny argument, a właściwie całą listę. Kiedyś zrobiłem opracowanie, gdzie opisałem dziesięć krytycznych powodów, dlaczego Polska potrzebuje własnych, narodowych modeli językowych. Ale powiem tylko o czterech, moim zdaniem najważniejszych. Pamiętajmy, że mamy dziś dwa polskie modele. Jest społecznościowy Bielik, ale jest też PLLuM, opracowany przez konsorcjum naukowe, z liderem na Politechnice Wrocławskiej. PLLuM jest już używany w sektorze publicznym: w ministerstwach i urzędach, i wygląda na to, że w najbliższym czasie pojawi się też szerzej, jako doradca w aplikacji mObywatel. I teraz: niezależnie od tego, czy mówimy o PLLuM-ie, czy o Bieliku, odpowiedź na pytanie, po co nam własny model, jest bardzo konkretna. Pierwszy argument to kontrola nad zbiorem treningowym. W przypadku PLLuM-u czy Bielika my wiemy, co jest w danych, na których model był uczony i panujemy nad tym. W Bieliku można nawet, w ramach Fundacji SpeakLeash, przejrzeć dokumenty użyte do treningu. Nie ma tu tajemnicy. Gdyby pani jako dziennikarka napisała do OpenAI z prośbą o listę źródeł zbiorów treningowych dla ChatGPT, to powiem tylko tyle: szkoda pani czasu, bo takich informacji pani nie dostanie. A jeśli te modele mają być używane w edukacji, w ochronie zdrowia, albo mają wspierać decyzje ważne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, to my nie możemy sobie pozwolić na sytuację, w której nie wiemy, na jakich danych one były uczone. Drugi argument to prywatność i bezpieczeństwo danych. Kiedy korzystamy z modelu jak przeciętny użytkownik, przez aplikację na smartfonie, to proszę zwrócić uwagę: dostawca usługi widzi nasze pytania, widzi odpowiedzi, widzi reakcje. I, na marginesie, często uczy modele także tymi konwersacjami. A my czasem pytamy o rzeczy naprawdę wrażliwe. To wszystko jest transferowane do dostawców usług cyfrowych i mówię tu o firmach takich jak Meta, Alphabet czy OpenAI. I być może w niektó-

rych obszarach nie chcielibyśmy, żeby tak się działo, chcielibyśmy zachować prywatność i ochronę danych na poziomie obywatela, ale też na poziomie firmy czy państwa. Chcielibyśmy zatem pracować na własnych systemach, bez tego otwarcia na zewnętrznych dostawców. Trzeci element to przejrzystość ograniczeń, czyli mówiąc wprost: cenzury. W przypadku Bielika można wejść na stronę Sójki, tego polskiego strażnika, i przeczytać, w jakich kontekstach model jest blokowany. Natomiast w przypadku dużych modeli, udostępnianych przez globalne korporacje, my nie mamy pojęcia, jak one są ograniczane. Niemal zero wiedzy. Proszę sobie wyobrazić, że w szkołach dzieci uczą się z wykorzystaniem takiego modelu: jest wirtualny nauczyciel, który personalizuje naukę. Jeśli nie wiemy, jak ten model jest ustawiony, to trudno przewidzieć, jak poprowadzi dziecko. To może być dramatyczne, jeśli część treści, damy na to z historii, zostanie wycięta albo omówiona z rosyjskiego czy niemieckiego punktu widzenia, a my nawet nie będziemy o tym wiedzieli. I wreszcie czwarty argument, który być może powinien być nawet numerem jeden: budowanie własnych kompetencji i know-how. Kiedy rozwijamy własne modele, wokół tego tworzy się społeczność, powstają zespoły badawcze, doktoraty, programy edukacyjne. Rośnie polska wiedza i polskie kompetencje w tej dziedzinie.

Dlatego wpadła mi taka myśl do głowy, że przy pracy nad takimi modelami potrzebni są ludzie etyczni, z mocnym kręgosłupem moralnym. Tylko jak to weryfikować?

I tu dotknęła pani bardzo drażliwego tematu. Ostatnio prowadziłem wykład na SGH, rozmawialiśmy o Sójce i jeden student zapytał mnie wprost: kto weryfikuje tę wiedzę, kto tworzy tę taksonomię i jak w ogóle sprawdzić, czy Sójka działa dobrze? Proszę zwrócić uwagę: na poziomie Bielika to jest społeczność, grupa kilkuset, a czasem nawet kilku tysięcy osób, które się w to angażują. Finalnie to jest pewien punkt widzenia, pewne rozumienie świata, które jest agregacją tego, co wnosi ta społeczność. A to są bardzo różni ludzie: wierzący i niewierzący, lewicowici i prawicowici, i tak dalej. A zatem w przypadku Bielika to w jakimś stopniu jest pochodną wizji świata tej społeczności. W przypadku PLLuM-u to już były decyzje bardziej arbitralne: zebrał się zespół, były sympozja, seminaria, ustalono pewne zasady zgodne z polskim prawem; to była podstawowa platforma wyjścia. Ale generalnie: jak to robić dobrze, jak to weryfikować, to jest

W GENERATYWNEJ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI JESTEŚMY DZISIAJ W TAKIM MOMENCIE, JAK INTERNET W 1995. REWOLUCJA SIĘ DOPIERO WYDARZY

trudne zagadnienie. Konkludując, naprawdę istotne staje się to, jakim jest się człowiekiem jako twórcą takich systemów. Bez dwóch zdań.

Co pana dziś w Bieliku najbardziej cieszy, a co niepokoi?

Jestem pod wrażeniem tego, jak ten projekt się rozwija. Uczestniczę w nim od bardzo wczesnego etapu, kiedy zaangażowanych było dosłownie kilkadziesiąt osób, i powiem szczerze: nie sądziłem, że to się tak fantastycznie rozwine. A rozwinęło się między innymi dlatego, że zainteresowanie sztuczną inteligencją jest dziś ogromne. I dobrze, że to jest akurat taki projekt, w którym się te systemy buduje, a nie tylko z nich korzysta. Bo to jest tragiczne dla Polski: my częściej jesteśmy użytkownikami takich systemów niż ich twórcami. Bielik na tym tle fantastycznie się wyróżnia. Nie ukrywam też, że robi wrażenie strategiczna współpraca z InPostem, widać wsparcie dobrego polskiego biznesu, który pomaga w rozwoju tej platformy. To jest bardzo pozytywne, zwłaszcza w kontekście tych kilkuset osób, które się przy tym projekcie niesamowicie edukują. Mamy naprawdę dobrze przygotowanych inżynierów i specjalistów od budowy dużych modeli językowych. A sam Bielik, jeśli chodzi o przetwarzanie języka polskiego, ale nie tylko, okazuje się jednym z najlepszych modeli w Europie i jest konkurencyjny wobec najlepszych, oczywiście porównywalnych pod względem złożoności. Mówimy o Bieliku jako o małym, kompaktowym modelu rzędu kilkunasu miliardów parametrów, i to jest celowe: dzięki temu taki Bielik może działać nawet na „mocniejszym” laptopie.

Na czym konkretnie polega pana rola przy Bieliku?

Moja rola jest marginalna. Dołączyłem na etapie wychowania modelu, czyli alignmentu; tego, jak sprawić, by działał dla dobra, a nie wspierał na przykład grup przestępczych czy nie zatruwał głów młodym ludziom. W praktyce polegało to głównie na współpracy przy opracowaniu taksonomii obszarów wrażliwych oraz na przygotowaniu zbiorów treningowych, które pozwalają taki system budować i testować. Bardzo mocno zaangażowali się w to także moi studenci. Jeden ze zbiorów da-

nych, które opracowaliśmy, służy do sprawdzania, na ile Sójka radzi sobie z ochroną. Nazwaliśmy go „Gadzi język”. To mój mały ukłon w stronę fascynacji literaturą profesora Tolkienu.

Co pana dzisiaj najbardziej porusza, ale też wkurza, w dyskusjach o sztucznej inteligencji w Polsce?

Irytuje mnie antropomorfizacja tych systemów i wzbudzenie przez media głównego nurtu myślenia o tej technologii jako egzystencjalnego zagrożenia. Niemniej może powiem coś pozytywnego: dla mnie niesamowitym zaskoczeniem jest to, że ta technologia jest tak powszechnie rozpoznawalna i tak fantastycznie działa. Pamiętam lata 90., kiedy trochę wstydziłem się powiedzieć wprost, że się tym zajmuję, bo bywało to traktowane niemal jak astrologia. Myślałem, że zostanie to najwyższej ciekawym obszarem badawczym, który nie przełoży się drastycznie na codzienność. A jednak tak się stało. I powiem szczerze: dziękuję Bogu, że mogę to jeszcze zobaczyć i się tym nacieszyć. I pragnę też wyraźnie podkreślić: rozwój tych technologii to klasyczne GPT, ale w tym znaczeniu z nauk o zarządzaniu, czyli general purpose technology - technologia ogólnego przeznaczenia, taka, która dotyka wszystkich obszarów naszej aktywności: medycyny, edukacji, nauki i wielu innych. Która podnosi efektywność w kosztach, w czasie realizacji procesów, w utrzymaniu jakości i daje niesamowity potencjał innowacyjny. Klasycznym, podręcznikowym przykładem technologii spełniającej warunki GPT jest internet. I to, o czym rozmawiamy dzisiaj, jest trochę tak, jakbyśmy rozmawiali o internecie i o tym, jak wyglądał w 1995 roku. Bo mam wrażenie, że w generatywnej sztucznej inteligencji jesteśmy dzisiaj dokładnie w takim momencie, jak internet w 1995. Czyli wszystko jest przed nami, rewolucja się dopiero wydarzy. I tak jak pani pewnie ma poczucie, że nie dało się nadażyć, kiedy internet zaczął naprawdę przyspieszać, pojawił się smartfon, media społecznościowe, zakupy online, tak w przypadku generatywnej AI to wszystko jeszcze przed nami. Naprawdę będziemy mieli szeroko otwarte oczy na to, co się wydarzy.

Co może się wydarzyć?

Zwykle daję studentom taki przykład. Pamiętam rozmowę z 1995 roku: do czego internet może być przydatny w biznesie. Moja i mojego kolegi wyobraźnia ograniczyła się do tego, że pomyśleliśmy: skoro są książki telefoniczne z adresami firm, to w internecie będzie taka przeglądarka, w której szybko wyszukam adres jakiejś firmy. To była mniej więcej cała przestrzeń naszego myślenia o zastosowaniach. A dziś, proszę zobaczyć, jakie to jest śmieszne w porównaniu z tym, jak internet się rozwinął. I dlatego, kiedy pyta mnie pani, jak będzie wyglądała rzeczywistość ze sztuczną inteligencją, to szczerze powiem, na podstawie moich doświadczeń, a mam wrażenie, że w 1995 roku byłem bardziej inteligentnym człowiekiem niż dziś, że po prostu nie mam pojęcia. To wszystko jest przed nami i trudno to sobie wyobrazić. Współczuję tylko dzisiejszym młodym ludziom. Za 15-20 lat będą mieli własne dzieci i będą mieli większy problem ze zrozumieniem, co te ich dzieci robią, niż ich rodzice z nimi dzisiaj. To będzie totalny odłot, przepaść pokoleniowa. Już dziś widzimy, jak trudno nadażać za rozwojem nowych technologii.

Każdy może stać się współtwórcą polskiej sztucznej inteligencji. Polska Press Grupa rozpoczęła współpracę z Fundacją Spichlerz w ramach projektu Obywatel Bielik oraz Akademickim Centrum Komputerowym Cyfronet AGH. Zamierzamy wspólnie budować cyfrowe dziedzictwo narodowe. Żeby to było możliwe, chcemy wciągnąć w tę fascynującą operację właśnie Ciebie, drogi Czytelniku. Wejdź na stronę i.pl/fotogra i dowiedz się, jak to zrobić.

CV



Prof. Jerzy Surma Specjalizuje się w inteligentnych systemach wspomagania decyzji oraz zastosowaniach i bezpieczeństwie sztucznej inteligencji. Pracuje w Instytucie Informatyki i Gospodarki Cyfrowej. Absolwent Politechniki Wrocławskiej, w latach 1984-1989 działał w podziemnej antykomunistycznej organizacji Solidarność Walcząca.

BOIMY SIĘ, BO ICH NIE ROZUMIEMY. ZAGLĄDAMY ZA MURY SZPITALA PSYCHIATRYCZNEGO W KOBIERZYNIE

Czym jest choroba psychiczna i jak cienka bywa granica między „normalnością” a załamaniem? Z Krystyną Rożnowską, autorką książki „Można oszaleć”, rozmawiamy o miejscu, które przez lata było symbolem wykluczenia, i o ludziach, którzy „więcej czują i więcej cierpią”

Jolanta Tęcza-Ćwierz



Spital Specjalistyczny im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie - współcześnie

W latach 80. uciekła pani do Kobierzyna przed polityką. A przecież to szpital psychiatryczny. Co sprawiło, że tam się pani znalazła?

Stan wojenny brutalnie przerwał mój dotychczasowy porządek życia. Kiedy się rozpoczął, ogarnął mnie lęk i poczucie odpowiedzialności za rodzinę. Pracowałam wtedy w redakcji „Gazety Krakowskiej”, miałam tam ugruntowaną pozycję... i nagle wszystko się zawaliło. Redakcję zamknięto, nikt nie wiedział, co będzie dalej. Baliśmy się wejścia wojsk radzieckich i wojny domowej. Byłam przerażona i zaczęłam się zastanawiać, jak zabezpieczyć przyszłość. Wróciłam wtedy do pomysłu, który wcześniej tylko przelotnie pojawiał się w mojej głowie. Schowałam do szuflady dyplom magistra historii i złożyłam podanie do dwuletniej pomaturalnej szkoły pielęgniarstwa. To były dwa niezwykle trudne lata nauki i praktyk w krakowskich szpitalach, ale dały mi solidne podstawy z psychologii, psychiatrii i całej medycyny. Kiedy wróciłam do Gazety Krakowskiej, pisałam już wyłącznie o tematyce medycznej. Wtedy postanowiłam pojechać do Kobierzyna i z bliska przyjrzeć się życiu pacjentów. Dziś mówię wprost: Kobierzyn był dla mnie formą ucieczki od sytuacji politycznej, która wówczas w Polsce stała się nie do zniesienia.

Jak wtedy wyglądało to miejsce?

Kobierzyn, który zobaczyłam, był miejscem zrujnowanym, smutnym, zaniedbanym i dramatycznie niedoinwestowanym. To był dla mnie wstrząs. Pamiętam przetarte koce, zniszczone buty pacjentów, metalowe miski. Chorzy siedzieli stoczeni przy kaloryferach i jedli - ten obraz do dziś kojarzy mi się bardziej z więzieniem niż z placówką leczniczą. Szczególnie zapadło mi w pamięć pierwsze wejście na oddział męski. Były tam dwa duże pomieszczenia. W jednym spało około trzydziestu mężczyzn, często na siennikach rozłożonych na podłodze. W drugim spędzali całe dni. Niektórzy przez lata nie wychodzili nawet do parku otaczającego budynek. Byli stale zamknięci. Proszę sobie wyobrazić trzydziestu mężczyzn w różnym wieku, w różnym stanie zdrowia, zmuszonych do nieustannego przebywania w jednym pomieszczeniu. Gdy tylko ktoś otwierał drzwi, natychmiast próbowali mówić, prosić, opowiadać o swoich problemach, nawiązać kontakt z lekarzem, z pielęgniarką, z kimkolwiek. Tymczasem personel zazwyczaj wpadał na chwilę, rozdawał leki... uciekał, zostawiając ich samych. Kiedy uświadomiłam sobie, jak naprawdę wygląda życie tych ludzi, ogarnęło mnie przerażenie. Tym większe, że

Polska
Poniedziałek, 19.01.2026

w tamtych czasach nie istniały jasno określone terminy pobytu, tak jak dziś. Wielu pacjentów trafiało do Kobierzyna na zawsze i już nigdy go nie opuszczało. Choroba psychiczna była wtedy szczególnie straszna, gdyż mogła oznaczać wyrok dożywotniego zamknięcia, bez perspektyw, bez nadziei na powrót do normalnego życia.

Na czym polegało leczenie i codzienna opieka nad pacjentami?

Leczenie i opieka zależały w ogromnym stopniu od indywidualnych wartości, wrażliwości i morale lekarzy oraz pielęgniarek. Bywało bardzo różnie. Sama byłam wstrząśnięta tym miejscem - nędzą pacjentów i przytłaczającą, ponurą atmosferą. A jednocześnie, paradoksalnie, byłam tymi ludźmi zaintrygowana. Wielu pacjentów było niezwykle interesujących. Poznałam tam artystę, którego obraz mam do dziś, spotkałam ludzi wykształconych, wrażliwych, kulturalnych. Uderzyło mnie, jak bezlitośnie choroba - całkowicie niezawiniona - straciła ich do świata bez perspektyw i bez nadziei. Do piekła zamknięcia i zapomnienia. Wtedy zaczęłam pisać cykl artykułów zatytułowany „Można oszaleć”. Poznałam tam emerytowaną pielęgniarkę, która przepracowała w tym szpitalu całe zawodowe życie, panią Janinę Srokę, która opowiadała mi o tym, jak Kobierzyn wyglądał przed wojną - jako jeden z najnowocześniejszych szpitali psychiatrycznych w Polsce był znakomicie utrzymany i prowadzony. Nie istniały jeszcze leki psychotropowe, więc opieka nad chorymi była niezwykle wymagająca i opierała się głównie na stałej obecności personelu. W tamtych czasach choroba psychiczna była powodem wstydu. Rodziny ukrywały chorych przed światem, zamykały ich w domach, a czasem wręcz izolowały w stajniach, komórkach czy klatkach - jak zwierzęta. Do Kobierzyna przywożono ludzi w strasznym stanie: wyniszczonych, brudnych, zawszonych. Aby ich uspokoić, nalewano do wanny ciepłej wody i trzymano ich tam godzinami, pilnując bez przerwy. Nie istniały też kaftany bezpieczeństwa. Zdarzało się więc, że chorzy demolowali sale, atakowali personel, wybijali szyby. Dopiero tuż przed wojną wprowadzono pasy - były to mokre prześcierała, którymi owijano pacjenta niczym mumie i pozostawiano na około dwie godziny, przykrywając go poduszkami, by się nie przeziębił. Czasem prześcierała posypywano solą.

Szpital w Kobierzynie powstał przed wielkim. Komu w czasach zaborów, kiedy Polski nie było na mapie i panowała powszechna bieda, przyszedł

do głowy pomysł, by zadbać o chorych psychicznie?

Idea budowy Zakładu dla Nerwowo i Umysłowo Chorych w Kobierzynie pod Krakowem narodziła się już w 1903 roku. Zasady funkcjonowania tej placówki opracowali wybitni polscy psychiatry: docent Jan Mazurkiewicz, pierwszy dyrektor szpitala, oraz profesor Jan Piltz, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ich wizja opierała się na przekonaniu, że chorzy psychicznie zasługują nie tylko na leczenie, ale również na godne warunki życia, opiekę i szacunek. Szpital miał leczyć nie tylko ciała i umysły, ale również oddziaływać przestrzenią, światłem i otoczeniem. Zakład w Kobierzynie został otwarty po zakończeniu I wojny światowej i przez lata uchodził za jeden z najnowocześniejszych ośrodków psychiatrycznych w Polsce.

Skąd bierze się nasz lęk przed osobami chorymi psychicznie?

Boimy się ich dlatego, że ich nie rozumiemy. Między naszym sposobem myślenia a ich doświadczeniem świata istnieje głęboka przepaść. Chorzy psychicznie są dla nas nieprzewidywalni, a nieprzewidywalność rodzi lęk. Nie potrafimy sobie wyobrazić, że osoba chora może mieć urojenia, że się boi i uważa, że to my jesteśmy dla niej zagrożeniem. Właśnie dlatego jej reakcje wydają nam się irracjonalne i niepokojące. Dopiero z czasem zaczęto oswajać społeczeństwo z tematem chorób psychicznych i tłumaczyć, na czym one polegają, ale nawet dziś nie jest to łatwe do zrozumienia. Zresztą człowiek od zawsze bał się inności. Ten sam mechanizm uruchamia się choćby w stosunku do imigrantów. Czujemy się bezpiecznie wtedy, gdy potrafimy przewidzieć zachowanie drugiego człowieka, gdy w jakimś stopniu znamy jego intencje i sposób myślenia. Tymczasem chorzy psychicznie to ludzie, którzy często przeżywają stany skrajnie intensywne, zwłaszcza w ostrych fazach psychozy. Te emocje widać w ich oczach, mimice, napięciu ciała. Kiedy stajemy naprzeciw kogoś, kto zachowuje się w sposób, który uznajemy za irracjonalny, i nie wiemy, co zrobi za chwilę, pojawia się naturalny lęk.

Pani się nie bała?

Bałam się, zwłaszcza na początku. To był lęk wynikający z nieznaności tego świata i z własnych wyobrażeń. Ale jednocześnie mam w sobie silną potrzebę przełamywania strachu, mierzenia się z trudnymi sytuacjami, obalania obaw i uprzedzeń. Ta potrzeba okazała się silniejsza niż lęk i pozwoliła mi zostać w tym świecie na dłużej.

Jak radziła sobie pani z etycznym ciężarem opowiadania o czynach cierpieniu? Czy zdarzyło się pani poczuć, że upublicznia coś, co powinno pozostać prywatne?

Właściwie nie podawałam nazwisk, nie chciałam ludzi obnażać. Nie interesowało mnie piętnowanie konkretnych osób. Szukałam prawd, które istnieją poza nimi - prawd systemowych, ludzkich, uniwersalnych. Zdarzyło się, że podałam kilka nazwisk, ale były to wyjątki. Pan Jerzy Olszak, malarz, sam chciał, abym o nim napisała. Był niezwykłą postacią, do dziś pamiętam go bardzo wyraźnie. Cierpiał na schizofrenię i spędził w Kobierzynie około dwudziestu lat. Opowiadał mi, że bardzo czekał na żonę. Wyobrażał sobie jej przyjazd. Mówił o tym z takim przekonaniem, że początkowo myślałam, iż żona rzeczywiście go odwiedziła. Dopiero kiedy w opowieści pojawił się samolot, z którego żona wysiadła na terenie szpitala i szła po czerwonym dywanie, zrozumiałam, że to świat jego wyobraźni. Przypomniał mi, jak cienka jest granica między rzeczywistością a urojeniem i jak łatwo można ją przekroczyć.

Kogo jeszcze zapamiętała pani z tamtych lat?

Pamiętam inżyniera Wojtka. Człowieka inteligentnego, impulsywnego, boleśnie wrażliwego na absurd rzeczywistości. Opowiadał o urzędniczkach, które nic nie robiły, o kierowcach nierozliczanych z czasu pracy, o ówczesnym systemie, któremu się sprzeciwiał. Pewnego dnia, doprowadzony do szału wszechobecną biurokracją, spalił całą dokumentację zakładu pracy na oczach brygadzysty. Pamiętam też ludzi, którzy trafiali do Kobierzyna z powodu alkoholizmu, często po latach prób radzenia sobie z życiem w inny sposób. I pamiętam piękną kobietę, tancerkę występującą w nocnych lokalach na Zachodzie. Po powrocie do Polski stała się dla rodziny ciężarem, bez pracy, bez perspektywy, nawet bez prawa do zasiłku. Jej historia była dla mnie jednym z przejmujących przykładów tego, jak szybko człowiek może zostać pozbawiony miejsca w świecie.

Obcując tak blisko z chorymi psychicznie miała pani kiedyś myśl, że sama mogłaby znaleźć się po drugiej stronie bramy szpitala - nie jako reporterka ale pacjentka?

Utwierdziłam się w przekonaniu, że każdy może zachorować psychicznie. Że to nie jest coś, co przydarza się „innym”, ale może dotknąć każdego z nas. Właśnie dlatego moja książka nosi tytuł „Można oszaleć”, bo naprawdę można. Choćby z nadmiaru wrażeń, przeciążeń, doświadczeń. To spotkanie z Kobierzynem było dla



Orkiestra złożona z pracowników i pacjentów, ok. 1930



Wnętrze sypialni oddziału kobiecego, 1927 rok

mnie jak odsłonięcie kolejnego fragmentu świata, którego wcześniej nie znałam. Dziś w Kobierzynie się bywa, ale kiedyś to miejsce było zamknięte, owiane tajemnicą, omijane szerokim łukiem. Jeżdżąc tam, poznałam innych ludzi i inny sposób istnienia, i uważam to doświadczenie za głęboko wzbogacające. Oczywiście przeżywałam to wszystko bardzo mocno. Ale bez własnych emocji nie da się napisać nic prawdziwego i wartego czytania. Tekst pisany z dystansu, bez empatii, jest martwy. On musi być przeżyty. Musi dotyczyć czegoś głębiej odczuto. Zrozumiałam wtedy, że moje emocje mają swoją cenę - są kosztem tej pracy, ale mają też wartość. To one nadają sens temu, co piszę.

A dziś uważa pani, że granica między „normalnością” a chorobą psychiczną jest znacznie bardziej płynna i cienka, niż zwykliśmy myśleć?

Człowiek jest istotą niezwykle skomplikowaną. Nie da się go szybko diagnozować, nie można łatwo uogólniać jego zachowań. Bardzo często zaskakuje - także samego siebie. Czy ta granica jest dziś cienka? Zawsze taka była. Różnica polega raczej na tym, że dziś być może bardziej zbliżyliśmy się do jej rozpoznania, do próby zrozumienia, gdzie przebiega. Psy-

chiatry wciąż poznaje człowieka i nadal jest to proces otwarty. Jedno się nie zmieniło: człowiek nie stracił swojej indywidualności. Każdy przypadek jest inny, każda historia osobna. I właśnie ta niepowtarzalność sprawia, że nie da się zamknąć ludzkiego doświadczenia w prostych definicjach ani ostrych granicach.

Czy treści urojeń pacjentów odzwierciedlają świat, w którym żyją?

Nie mam wątpliwości, że tak jest. Dało się to wyraźnie zauważyć w rozmowach z pacjentami. Ich urojenia bardzo często były osadzone w aktualnych wydarzeniach i w świecie, który ich otaczał. Choroba psychiczna jest chorobą duszy, ale nie oznacza całkowitego zerwania z rzeczywistością, to raczej inny sposób jej odbierania, w który wplatają się codzienne doświadczenia, lęki i przeżycia. Było to szczególnie widoczne po wojnie, kiedy do szpitala trafiło wielu ludzi strauumatyzowanych wojennymi doświadczeniami. Te przeżycia powracały w ich wyobrażeniach, snach i urojeniach. Podobnie jest i dziś. Żyjemy w niespokojnych czasach i nie mam wątpliwości, że lęk przed wojną jest obecny w głowach wielu ludzi, także tych chorych psychicznie. Wszyscy się boimy, ale osoby chore przeżywają te lęki

z dużo większą intensywnością. Bardzo trafnie ujął to Antoni Kępiński w „Schizofrenii”: „Tym, którzy więcej czują i inaczej rozumieją i dlatego bardziej cierpią...”. To zdanie zostało ze mną na długo, bo oddaje istotę tej szczególnej wrażliwości, która bywa jednocześnie darem i ciężarem nie do udźwignięcia.

Jakie czynniki decydują o tym, że jedni potrafią zmierzyć się z chorobą psychiczną, a inni jej ulegają?

Czynników jest bardzo wiele. To, czy ktoś dotknięty chorobą psychiczną daje się chorobie zawładnąć, czy ją pokonuje, zależy m.in. od indywidualności człowieka, od tego, czy jest z natury samokrytyczny, czy potrafi przyjąć myśl, że coś złego dzieje się z jego psychiką. Pomaga również pewna wiedza medyczna, choćby podstawowa, pozwalająca nazwać to, co się przeżywa. Ogromne znaczenie ma też otoczenie. Jeśli chory ma wokół siebie ludzi, którym ufa, takich, którzy potrafią spokojnie wytłumaczyć, że potrzebne jest leczenie, i jeśli on jest w stanie im uwierzyć, wtedy istnieje szansa, że uda się chorobę oswoić, a nawet pokonać. Problem polega na tym, że w wielu przypadkach choroby psychicznej ten samokrytycyzm po prostu znika. Wtedy urojenie widzenie



Wnętrze Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Kobierzynie

świata przez chorego staje się silniejsze i trudniejsze do zmiany niż realne u osoby zdrowej. Przekonanie chorego bywa absolutne: widzę to, co widzę i nic innego nie istnieje. I właśnie w tym miejscu pojawia się trudność, bo nie sposób zakwestionować odbioru rzeczywistości chorego, ani nawet pojąć.

Pisze pani, że do Kobierzyna ludzie przyjeżdżają po to, by „uporać się z samymi sobą”. Co to znaczy?

Znam osobę chorującą na schizofrenię, która miewa nawroty choroby zwykle raz w roku, najczęściej na wiosnę. Wtedy pakuje walizkę, bierze skierowanie od swojego psychiatry i jedzie do Kobierzyna na jakiś czas. Poza tym pracuje, funkcjonuje i żyje normalnie. To przykład kogoś, kto świadomie wybiera pobyt w szpitalu, żeby się leczyć i odzyskać równowagę. Dziś wielu ludzi przyjeżdża do szpitala psychiatrycznego właśnie z taką intencją, by uporać się z samymi sobą, z chorobą, z nawrotem objawów. Dawniej bywało inaczej. Zdarzało się, że do takich miejsc trafiali również ludzie, którzy nie byli chorzy psychicznie, ale z różnych powodów zostali tam umieszczeni. Pamiętam rozmowy z psychiatrami, którzy opowiadali mi, jak walczyli o to, by nie można było każdego zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, by konieczna była zgoda chorego. To nie jest jednak sprawa prosta. Są choroby, którzy w czasie nawrotu choroby tracą samokrytycyzm, najczęściej wtedy, gdy przestają brać leki, bo uważają, że są już zdrowi. W takich sytuacjach może dojść do tragedii, bo bardzo trudno umieścić ich w szpitalu bez ich zgody. Psychiatrzy coraz częściej stają dziś po stronie pacjentów, reprezentując ich prawa. Uznano bowiem, że zamykanie człowieka w szpitalu psychiatrycznym bez jego zgody jest naruszeniem wolności osobistej. I ten dylemat: gdzie kończy się ochrona, a zaczyna przymus, pozostaje aktualny do dziś.

Nie zaprasza pani do lektury łatwej i przyjemnej. Są w niej opisy hitlerowskiej eksterminacji pacjentów psychiatrycznych, dramatyczne losy ludzi chorych i odrzuconych, ale też momenty nadziei, gdy Kobierzyn przestaje być miejscem izolacji, a staje się nowoczesnym ośrodkiem leczenia. Co chciałaby Pani, aby czytelnik wyniósł z tego kontrastu?

Mam czasem pretensje do samej siebie, że piszę o sprawach smutnych, a nawet tragicznych, że wciąż wracam do szpitala i innych miejsc naznaczonych cierpieniem. Bywałam w Kobierzynie wiele razy; czasem musiałam się do tych wizyt zmuszać, pokonywać własny opór. Pisałam także wywiady z zabójcami, odwiedzałam więzienia - to również nie były łatwe doświadczenia. Nie potrafię do końca powiedzieć, dlaczego to robię. Wydaje mi się jednak, że kieruje mną jakiś rodzaj obowiązku moralnego, choć wiem, że brzmi to może naiwnie. Lubię pisać o tym, co mnie zdumiewa, dziwi, a czasem przeraża. O tym, co zmusza do myślenia i nie daje spokoju. Chciałabym, żeby po lekturze tej książki czytelnicy mieli lepsze wyobrażenie o Kobierzynie, o chorobach psychicznych i o ludziach, których one dotykają. Może to kogoś uwrażliwi, może ułatwi kontakt z osobami chorymi, bo przecież jest ich wokół nas bardzo wielu. Jeśli ta książka choć trochę przyczyni się ich większego zrozumienia i empatii, to uznam, że było warto ją napisać.

NASZA ROZMÓWCZYNI



Krystyną Rożnowską, krakowską dziennikarką, autorką książki „Można oszaleć”.

NA ZAMEK W TYKOCINIE WRÓCIŁO ŻYCIE

– Idea odbudowy zamku w Tykocinie nie polegała na tym, by położyć cegłę na cegle. Chodziło o to, by pokazać, jak ważne to było miejsce na mapie Rzeczypospolitej – mówi Jacek Nazarko, białostocki przedsiębiorca, który znaczną część swojego życia poświęcił tej inwestycji. Niedawno otrzymał za to Medal Zasłużonego Kulturze „Gloria Artis”

Andrzej Kłopotowski

Pamięta pan pierwszy swój kontakt z Tykocinem?

To musiał być 1958 rok. W Tykocinie wybuchł wtedy duży pożar. Pojechaliśmy – jako dzieci – pod egidą naszej szkoły podstawowej z zebranymi darami dla pogorzalców. Wtedy po raz pierwszy byłem w Tykocinie. Nasza nauczycielka pokazywała nam miejsce, w którym stał zamek. Proszę mi wierzyć, że stojąc na tej drodze, która tam biegnie i dziś, niczego nie widziałem. Była tam górceczka, na której pasły się krowy. To było pierwsze spotkanie z zamkiem.

A pierwsze świadome spotkanie z zamkiem?

To już było dużo później. W latach 60. XX wieku poprzedni rekonstruktorzy przystąpili do dziwnej rekonstrukcji. Na istniejących fundamentach zaczęto nadbudowywać z cegły z niedalekiej Złotorii zarys murów. Miały one wysokość około metra. Dodatkowo zbierano kamienie z pól do odbudowy. Te mury dotrwały do lat 80. XX wieku. Trawa sobie rosła, dzieci się bawiły w jamach, które pozostały po wykopach, panowie rozpijali flaszki. To było moje drugie spojrzenie na Tykocin. Kolejne spotkanie związane było z moimi zainteresowaniami budowlano-historycznymi. Jeśli chodzi o zawód, miałem sporo rozmaitych marzeń. Chciałem być dziennikarzem, strażakiem, później architektem. W rezultacie zostałem inżynierem budowlanym. Nie porzuciłem jednak swoich zainteresowań restauracją obiektów historycznych. Cały świat – najbardziej znane budowle – to w znacznej mierze rekonstrukcje, choćby Partenon w Atenach, Drewno, Warszawa czy Gdańsk. Wiele jest takich miejsc, które udało się podnieść z niebytu.

Co było w Tykocinie i w zamku, że zajął się pan tym tematem?



Jacek Nazarko: – W Tykocinie zawsze panowało przekonanie, że ten zamek w jakiś sposób wróci do życia. To było powszechne – poczynając od dzieciaków po burmistrza. Oni chodzili na te fundamenty, mieli tam przestrzeń publiczną. I mieli przekonanie, że zamek kiedyś znów tu będzie.

To było coś dziwnego. W Tykocinie panowało przekonanie, że ten zamek w jakiś sposób wróci do życia. To było powszechne – poczynając od dzieciaków po burmistrza. Oni tam chodzili, mieli przestrzeń publiczną, gdzie wszyscy przychodzili. Imieli przekonanie, że zamek kiedyś znów tu będzie.

A nie było go przez kilkadziesiąt lat!

Zamki pod koniec XVIII wieku były już niemodne. Miały charakter obronny, a gdy pojawiła się artyleria, utraciły swój sens istnienia. Było z nich dużo cegły, spajanej zaprawami wapiennymi, która była łatwa do odzyskania. Wystarczyło mieć lepszy młotek. Branicki – mając swoje ambicje deweloperskie – miał wizję miasteczka barokowego. Postanowił przebudować Tykocin,

a materiał zamkowy przeznaczyć na budowę nowego klasztoru bernardynów.

Ktoś panu powiedział: „Jacek, a może zbudujesz zamek?”

Właściwie wszystko zaczęło się od krowy. W czasie reformy rolnej teren zamku został wydzielony. Wcześniej, w okresie przedwojennym, cały teren obejmujący również bastiony, otoczenie, był już wpisany

do rejestru zabytków. Po II wojnie światowej teren przekazano rolnikom, natomiast działka około 1 hektara pozostała jako mienie Skarbu Państwa. Taki nieużytek nie służył specjalnie nikomu. Pasły się tam krowy. I któregoś dnia, gdy następowały przemiany, któraś krowa złamała tam – w jakiejś dziurze zamkowej – nogę. Powstał problem. Zaczęto myśleć co z nim zrobić. A najprostszym sposobem na rozwiązanie problemu jest pozbycie się go. W gazecie znalazłem ogłoszenie, na „pozbycie się” tego hektara.

Wzięli pana wtedy za wariata?

Prawie tak. W ogłoszeniu była pułapka. Przy sprzedaży – na początku była to wieczysta dzierżawa – pojawiło się zastrzeżenie, że zamek trzeba odbudować.

Kupił pan te fundamenty i co? Siadł pan na murach, wyjął flaszkę i zaczął się zastanawiać?

Lata 90. były okresem niebywałego entuzjazmu. Wszyscy wierzyli, że wszystko jest możliwe. No to ja też wierzyłem, że odbudowa zamku jest możliwa. Byłem inżynierem. Pojęcie o tym, jakie mogą mnie czekać niespodzianki, miałem.

Ale inaczej się buduje domy czy bloki, a inaczej zamki.

Jak wspominałem, wcześniej interesowałem się rekonstrukcjami, tradycyjnymi metodami budownictwa. Na przykład zaprojektowanie sklepień nie było problemem. To był okres bardzo dużego bezrobocia. Na terenie gminy Tykocin ludzie nie mieli co robić. Byli przeschęczeni, gdy mogli przyjąć i pracować na zamku. Kolejna sprawa – byli wtedy ludzie, którzy mieli pojęcie o murowaniu, ciesielce, kowalstwie, złotnictwie. Byli rzemieślnicy.

Ale nie mogło być w tej inwestycji tylko entuzjazmu. Mu-

siały być badania historyczne, projekty...

Dlatego tak długo to trwało. W 1997 roku rozpoczęliśmy szeroko zakreślone badania archeologiczne. Trwały praktycznie do ubiegłego roku. Tak należy robić, jeżeli się dotyka do materii historycznej. Czy można było zrobić tu coś innego? Tak. Trzeba tylko pamiętać, że ktoś musi za to zapłacić. Od lat 60. do 90. usiłowano coś z zamkiem zrobić. Były różne koncepcje – od amfiteatru, przez odbudowę dwóch baszt i kawałka muru. Skończyło się na tym, że koparkami zniszczono całe warstwy kulturowe, wybierając 1,5 metra ziemi, by pokazać ściany fundamentowe. Wszystko, co było kiedyś, działo się przecież na dziedzińcu. To były stanowiska archeologiczne.

Pierwsze pytanie przy rozpoczęciu odbudowy – jak ten zamek ma wyglądać?

Ma wyglądać tak, jak został zaprojektowany.

W jakiej formie?

Trzeba było sięgnąć do dokumentów. Był to okres, gdy zamki budowano bez planu utrwalonego na papierze. Zamek tykociński był chyba ostatnim zamkiem budowanym w Europie. Były za to dość precyzyjne inwentarze zamkowe. Mając w całości obrys fundamentów i precyzyjne opisy – mówiące ile było sztybek w oknie, gdzie schody – trzeba było stworzyć na tej podstawie zamek. Nie odbudowywaliśmy zamku dla króla, by trzymał w nim armaty (była w nim wtedy jedna toaleta). My musieliśmy dostosować zamek do nowych potrzeb, nie burząc struktury, która sprawiała, że ten zamek był zamkiem. Były koncepcje, by wykorzystać beton, szkło i stal, by stworzyć coś, co by symbolizowało zamek, pomijając fakt, że szkło i stal były w tym czasie trudno dostępne, bardziej do-

stępna była cegła. Część cegły o wymiarze historycznym wypalana była pod Kielcami, potem przyszła czerwona cegła o dobrej jakości z Pisanicy. Projektowanie to był cały proces. Były zastrzeżenia co do formy zamku. Dyskusja była dość szeroka, w końcu oparła się o komisję w Ministerstwie Kultury i Sztuki, która ostatecznie zatwierdziła wizję tej nowej budowli. Bo to jest nowa budowla, ale w kształcie historycznym.

Na ile - w formie zewnętrznej - odpowiada opisom z inwentarza, a na ile to kreacja wzorami gotyckimi, renesansowymi?

Oczywiście nie jest to kopia, o której powiedzielibyśmy, że to idealne „zdjęcie” tego, co było w XVI czy XVII wieku. Zresztą ten zamek podlegał destrukcji przez około 200 lat. Przeszedł wojny szwedzkie, spalenie, potem częściową odbudowę. Mieszkał w nim Stefan Branicki, tu prawdopodobnie urodził się Mikołaj Branicki. Trudno było się zdecydować, z jakiego okresu zamek rekonstruujemy. Jeśli chodzi o formę, coś do powiedzenia miał Gasztołd, który odbudowywał zamek po pożarze w 1520 roku, gdzie pierwiastki renesansowe mocno mieszały się jeszcze z tradycją gotycką. Trzeba pamiętać, że doradcą Zygmunta Augusta, czyli króla, który w sumie najbardziej ten zamek rozbudował, był Holender - Hiob Pretfus. Analogii można szukać w zamkach z wieżami na narożach jak stary zamek w Dyjamencie w rejonie Rygi. Dalekim echem Tykocina jest późniejszy o sto lat klasztor w Sejnach, dla którego wzorem mógł być zamek Tykocinie. Jednym słowem - nasz zamek to połączenie tradycji z zachodu Europy - z Belgii, z Niderlandów - z wpływami wschodnimi.

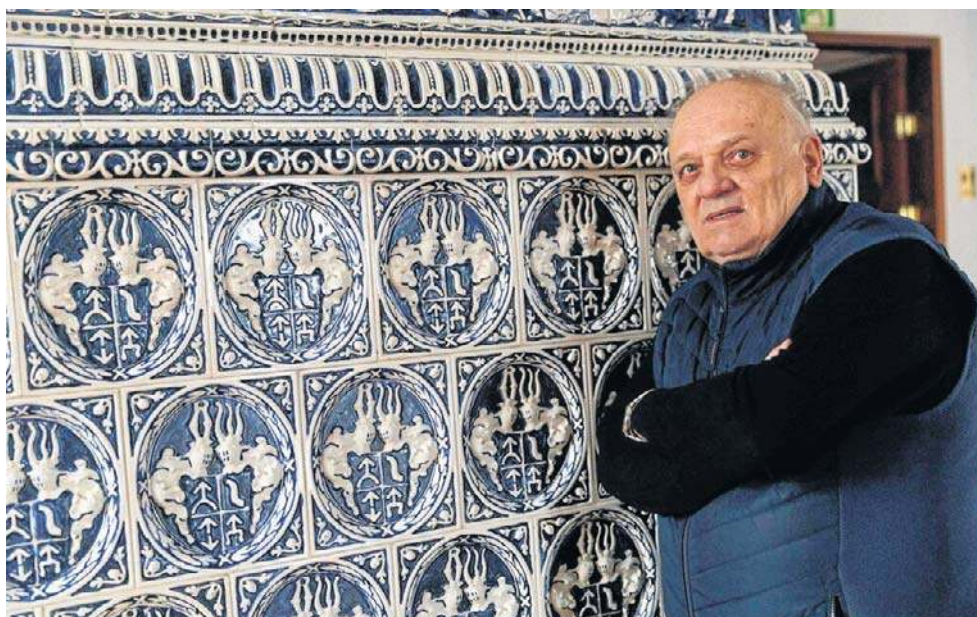
Wiele osób mówi, że Jacek Nazarko zbudował „gargamela”.

Zamek jest jak człowiek. Każdy dom, każda budowla jest jak człowiek. Ma okres swojego życia i potem umiera. Umiera z powodu tego, że nie ma nic stałego. Następuje destrukcja cegły, zapraw, nawet konstrukcji żelbetowych. Nie ma czegoś takiego, że dzisiaj coś zbudujemy i będzie to stało niezmiennie przez 500 lat. Jeżeli to nie będzie konserwowane, nie będzie mieć dachu, to nie da się w warunkach polskich utrzymać jakiegokolwiek ruiny w długim okresie. Wszystko się zmienia. Zmienność jest elementem naszego bytu. Może ktoś kiedyś przebuduje to miejsce? Zresztą ta budowa nie jest zakończona. Ta budowa trwa.

To z czego do tej pory jest pan najbardziej dumny?



Muzeum na zamku w Tykocinie rocznie odwiedza 50 tysięcy osób



Wielki piec na zamku w Tykocinie został zaprojektowany (na wzór swojego XVII-wiecznego poprzednika na podstawie odnalezionych fragmentów kafli) przez Marię Dąbrowską z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN



- Było tu pięciu królów: Zygmunt August, Stefan Batory, Zygmunt III Waza, Władysław IV i August II Mocny. I na dokładkę jeszcze car Piotr I. Zamek był miejscem śmierci Janusza Radziwiłła - opowiada Jacek Nazarko

Najbardziej jestem dumny, że do tego miejsca wróciło życie. Nie z tych cegieł, nie z tych kamieni, tylko, że wrócił tu duch. Udało się ziszczyć przekonanie, że kiedyś królewski splendor wróci do Tykocina...

Można mówić o szturmowaniu zamku, o Orderze Orła Białego, o królach...

Było tu pięciu królów: Zygmunt August, Stefan Batory, Zygmunt III Waza, Władysław IV i August II Mocny. I na dokładkę jeszcze car Piotr I. Za-

mek był miejscem śmierci Janusza Radziwiłła. Pod koniec 1656 roku gościł na zamku Bogusław Radziwiłł. Oprócz tego zamek to też bitwy z okresu powstania listopadowego czy styczniowego. Finowie mają obraz przedstawiający „Bitwa

pod Tykocinem”, który jest dla nich jak dla nas „Bitwa pod Grunwaldem”. To miejsce ma dużo większe spektrum, niż nam się wydaje.

Ile zamku stoi? Połowa?

Mniej. Kubaturowo na pewno mniej. Do dokończenia jest skrzydło od strony Knyszyna, najłatwiejsze, jednotraktowe. Zrekonstruowane są w nim piwnice i fundamenty wieży. No i zostaje skrzydło frontowe. Już za Wiesiołowskich miało charakter pałacowy. To jest wyzwanie na pewno nie na moje życie.

Podjeżdża pan, że odbudowa będzie tyle trwała?

Tak. I dlatego przestrzegam wszystkich entuzjastów odbudów obiektów historycznych. Wszystko musi mieć także sens ekonomiczny. Od wielu lat ten zamek sam finansuje swoją odbudowę. To nie jest tak, że przychodzi pieniądze z grantu. Praktycznie nie ma i nie było pieniędzy społecznych. Trzeba było je wypracować przez imprezy, włączanie do użytkowania kolejnych elementów zamku.

Kiedy ma szansę stanąć skrzydło od strony Knyszyna?

Nie wiem. Powiem tylko, że na początku odbudowy cegłę można było kupić za 30 groszy, obecnie kosztuje 2,30 zł. To daje pogląd na zmniejszające się możliwości inwestycyjne. Ponadto jest coraz trudniej o wykwalifikowanych fachowców. Ci starsi ludzie, którzy mieli pojęcie jak kładzie się cegłę, odeszli. Dzisiaj nie sposób znaleźć kowala, który by zrobił kraty jak te, które mamy na zamku. Sporo jest w Polsce takich miejsc historycznych, gdzie coś rozpoczęto, rozgrzebano i są problemy. Tu udało się tchnąć ducha. Nasze muzeum rocznie odwiedza 50 tysięcy osób, co na warunki podlaskie jest znaczną liczbą. To żyjący obiekt. Odbywają się tu konferencje, funkcjonuje muzyka i tańce, działa muzeum, można też zjeść kotleta. To - z mojej strony też - próba przystopowania biegu czasu. Miałem w życiu parę momentów, kiedy spowolniłem czas. Rekonstruowałem samochody, odtwarzałem życie łodzi żaglowych. Teraz zamek. To jest przyszłość z poszanowaniem przeszłości.

Zamek to nie tylko budowa, ale też badania.

Badania były, są i będą. Wymieniłbym współpracę z prof. Stanisławem Aleksandrowiczem, prof. Józefem Maroszkim, z Instytutem Archeologii i Etnologii PAN w osobach Marii Dąbrowskiej, która projektowała i inicjowała odbudowę wielkiego pieca na zamku oraz Wojciecha

i Magdaleny Bisów. Architektem i projektantem zamku jest pani Agnieszka Duda. Współpraca nie była łatwa. Tu pewnie ja byłem bardziej przeszkodą, niż pomocą. Efekt nie jest najgorszy. Odrzucam opinię, że to „gargamel”. Idea odbudowy nie polegała na tym, by położyć cegłę na cegle. Chodziło o to, by pokazać, jak ważne to było miejsce na mapie Rzeczypospolitej. Tykocin jest w połowie drogi z Korony na Litwę. Ktokolwiek jechał na Litwę, zatrzymywał się w Tykocinie.

Pana starania zostały niedawno docenione. Otrzymał pan medal Gloria Artis.

Byłem mocno wzruszony.

Zaskoczony też?

Ten medal był niespodzianką.

Motywuje ten medal?

Nawet dwa. Jeden medal dostałem na 600-lecie Tykocina, drugi to medal ministerialny. Nie wybieram się jeszcze na Farny (cmentarz - przyp. red.), myślę, że jeszcze coś da się zrobić. Może mniej w sensie materialnym, bardziej w formie świadectw o Rzeczypospolitej. Chciałbym zwracać uwagę na Polaków na Litwie i szczególnie trudną sytuację Polaków na Białorusi. Tym ludziom należy się pamięć, należy się wsparcie, utrzymywanie kontaktów na różnych, najlepiej społeczno-prywatnych płaszczyznach. Podlasie to nie są Kresy. Kresy są kilkaset kilometrów dalej. Druga kwestia to podchodzenie z głęokim zrozumieniem do uchodźstwa. Proszę sobie wyobrazić, że repatrianci z Wilna przeżywali dość trudne dni po przyjeździe do Polski w 1945 roku. W Wielkopolsce byli uznawani za element obcy.

Żałuje pan, że był wariatem i podjął się budowy zamku?

Coś w życiu trzeba robić. Inżynier musi budować, pisarz musi tworzyć książki, dziennikarz artykuły. Ponadto uważam, że należy unikać prostych schematów. Proste schematy są dla ludzi głupich. Nie poruszyłem w naszej rozmowie wielu wątków. Próbuujemy je podnosić w trakcie działalności kulturalnej zamku. Jest muzyka, śpiew, migranci ze wschodu - bo też ich mamy. Jeżeli dołożymy watek historyczny - powiemy o królach, pokażemy dokumenty, opowiemy np. o Zygmuncie Augustynie i o tym, gdzie jest pochowane jego serce, to mamy ciekawą historię. Ważne jest rozumienie tego, co wokół nas się dzieje. Nie ma miejsca dla cudownych rozwiązań. Trzeba się nad wszystkim namyślić. Liczy się ciężka praca, a nie instagram i zdjęcia z zatłoczonej plaży na Malediwach.

CZERWONE DYWANY, MROCZNY FIOLET, WIĘCEJ ŚWIATŁA, CZYLI KOLOROWY ŚWIAT POWIEŚCI AGNIESZKI LIS

Rozmowa z pisarką Agnieszką Lis, pochodzącą z Koszalina, o tym, jak minęła jej końcówka 2025 roku i co szykuje dla swoich czytelników w roku 2026

Anna Czerny-Marecka

Ostatnie tygodnie minionego roku spędziła pani na premierach filmu „Piernikowe serce” Piotra Weresniaka opartym na pani książce „Marcepanowa miłość”. Jak to wyglądało?

Najpierw, 17 listopada, był pokaz prasowy w warszawskim kinie Atlantic. Potem odbyło się kilka pokazów przedpremierowych. Pierwszy w Grudziądzu, ponieważ z tamtych okolic pochodzi producent, który najwyraźniej ma podobny sentyment do miejsca swojego urodzenia, jak ja do Koszalina. Oficjalną premierę zorganizowano w Warszawie, w Złotych Tarasach, 24 listopada. Były gwiazdy, ścianka, reporterzy. Premierę zorganizowano z ogromnym rozmachem! Dla mnie obecność tam to było ogromne przeżycie. Film pokazano także, poza konkursem, na festiwalu Camerimage w Toruniu. W tym mieście właśnie toczy się akcja „Piernikowego serca”. Takiej przepięknej reklamówki filmowej nie ma chyba żadne inne miasto w Polsce. A kiedy ja zdałam sobie sprawę, że jesteśmy na największym światowym festiwalu operatorów filmowych, stricte branżowej, bardzo elitarniej imprezie, to nogi się przede mną ugięły. Bo wie pani, sala na 750 osób, bardzo międzynarodowe i bardzo wymagające, wyrobione towarzyszywo. Byłam przerażona. Po wizycie na czerwonym dywanie, super eleganckim przedstawieniu całej ekipy, po wywiadach, ściankach i tak dalej, postanowiłam obejrzeć film po raz kolejny. Usiadłam w fotelu dokładnie w momencie, w którym skończyły się reklamy, a na ekranie zaczęto wyświetlać suport, etiudę Davida Lyncha. Na której trzy postaci przebrane za króliki siedziały na kanapie. Gdy jedna wstawała, by otworzyć drzwi, rozlegały się brawa. Ścieżka dialogowa była pocięta, tak jakby ktoś porozrzucił beładnie pytania i odpowiedzi. To był kompletny abstrakt. A my... przyjechaliśmy z komedią! Taką ciepłą, serdeczną, bożonarodzeniową. Mróz mi przeszedł po kręgosłupie, tak

się zestresowałam. Faktycznie, sam początek był trudny. Publiczność musiała przestać się z tego bardzo wyrafinowanego, niezwykle wymagającego obrazu na coś, co jest komediowe, trochę wzruszające, świąteczne. Jednak kiedy pojawiły się pierwsze zdjęcia Torunia, zrobione z drona, a potem z kamery na wysięgniku, to widzowie zaklaskali, doceniając pracę operatora. A potem się rozkręcili, było dużo śmiechu i brawa na koniec. Wyszłam z tej imprezy z poczuciem, że to jest film, który się obroni w każdych warunkach. Będzie odpowiedni zarówno dla widza, który potrzebuje po prostu się pośmiać, odpocząć, trochę wzruszyć, jak i dla tego, który poszukuje czegoś więcej.

Dużo zostało w tym filmie z pani powieści?

Wątki powieściowe zostały dopasowane do potrzeb produkcji filmowej. Są w niej także motywy z innych moich świątecznych książek. Wiadomo, fabuła filmowa rządzi się innymi prawami niż literacka. Natomiast bohaterowie pozostali tacy, jakimi ich stworzyłam. Jedno ważne imię zostało zmienione, bo w książce nastoletnim bohaterem jest Norbert, a w filmie Janek. Producenci uznali, że imię Norbert jest po prostu mało filmowe. Trochę mi go było szkoda, bo akurat ja z różnych przyczyn to imię lubię. Natomiast faktycznie, charakterystyki postaci, ich osobowości, sposobów zachowania - są takie, jakie ja wymyśliłam. W którymś z wywiadów reżyser Piotr Weresniak powiedział, że ci bohaterowie zostali tak w powieści wykreowani, że nie było co zmieniać. Ich trzeba było po prostu wziąć i wykorzystać. I to był dla mnie ogromny komplement, że scenarzyści dokładnie tak postąpili - po prostu wzięli tych bohaterów i wykorzystali od A do Z.

Wygląda na to, że odebrała pani ten film z dużą radością, bo i pani się spodobał...

To było dla mnie pierwsze takie doświadczenie, więc za-



Agnieszka Lis: pisarka poczytnych powieści obyczajowych, psychologicznych, kryminalnych, thrillerów i historycznych pochodzi z Koszalina. Obecnie mieszka pod Warszawą, gra na fortepianie, uczy swoich muzyki i pisze kolejne książki

ufałam filmowcom i myślę, że dobrze się stało. Piotr Weresniak mówił, że to jest film mieszczący się pomiędzy zwykłą komedią, bazującą na najprostszyc emocjach, a czymś, co jest wysokim, wymagającym kinem artystycznym. Ten film jest lekki, ale niesie ze sobą jakieś wartości, pewną ważną opowieść. Dla mnie właśnie ten „środek fabularny” jest najcenniejszy, bo ja tam widzę swoje pisanie i swojego odbiorcę. I to, że film trafił dokładnie w to miejsce, jest spełnieniem moich marzeń, oczekiwań, pragnień. I w dodatku świetnie się sprzedał. Zdobył już około 200 tysięcy widzów, co jest naprawdę bardzo dobrym wynikiem. A przecież nie zniknie z ekranów, bo trafi na platformy streamingowe i zapewne na ekrany telewizyjne, gdyż Telewizja Polska jest koproducentem.

Premiery, czerwone dywany, znalazła pani czas na pisanie? Czego możemy spodziewać się z początkiem tego roku?

Wydawcy nie dali mi wakacji w związku z tym, że miałam premierę filmu. I planów trochę mam. Na początku lutego ukaże się trzecia część trylogii „Światło” wydawanej przez Filię. Było „Ocalenie” i „Odkupienie”, będzie „Odrodzenie”. To jest cykl obyczajowy, którego akcja toczy się w czasie wojny, potem w odbudowującej się z gruzów Warszawie, a w trzeciej części przenieśliśmy się w lata 50. XX wieku, czyli czasy komunizmu i silnych przekształceń kulturowych. Śledzimy losy Ewy, którą poznaliśmy w sierocińcu przed wojną. Los jej nie pobbąza, szarpie ją na bardzo różne sposoby, ale na koniec... nie, nie mogę zdradzać końca tej historii. W każdym razie jest to powieść obyczajowa z wątkami silnie historycznymi. Potem, na początku kwietnia, ukaże się kolejny kolor, czyli następny thriller wydawany w serii wydawnictwa Purple Book. Po „Niebieskim”, „Czerwonym” i „Żółtym” będzie „Fioletowy”. Tekst jest już oddany, teraz będą trwały prace redakcyjne.

Akcja „Złotego” toczy się w **Bornem Sulinowie, czy z „Fioletowym” także zawita pani w rodzinne strony?**

Nie, akcja Fioletowego toczy się na Kurpiach. Dokładnie Kurpiach Zielonych, bo stamtąd pochodził mój ojciec. I dlatego dla mnie to też była ważna, sentymentalna podróż. Nie za wiele wiedziałam o tym miejscu. Byłam tam może ze dwa razy. Raz z tatą, raz z moimi dziećmi. Pozwoliłam więc sobie skontaktować się z Muzeum Etnograficznym w Nowogrodzie. Otrzymałam tam niesłychaną pomoc i bardzo życzliwe wsparcie w śledzeniu wątków związanych z kulturą kurpiowską. Mogę zdradzić tylko tyle, że akcja jest dwutorowa: dzieje się współcześnie i zaraz po drugiej wojnie światowej. Wykorzystałam bardzo mroczną historię, którą znam z opowiadań mojego ojca. A współcześni bohaterowie to para nastolatków, na których ta historia mocno wpływa. Cała seria kolorowa oparta jest na założeniu wpływania na psychikę drugiego człowieka, ale wpływania negatywnego, na manipulacji, na wykorzystaniu drugiej osoby, nie mogło być inaczej także w przypadku tej części. No i oczywiście, skoro w tytule mamy fiolet, to i on się pojawia na różnych etapach powieści i w różnych postaciach. Głównym fioletowym wątkiem jest to, że część akcji toczy się na plantacji lawendy...

Znając pani pracowitość, myślę, że te dwie książki to dopiero początek...

Owszem. Będzie między innymi kontynuacja rozpoczętego w ubiegłym roku cyklu bajek wydanych w formie audiobooków. To jest odnowienie czegoś, z czym właściwie zaczynałam, bo te bajki dla przedszkolaków napisałam, kiedy mój dzisiaj prawie dwudziestoletni syn miał pięć lat i wtedy one wygrały konkurs na dobrą powieść w kategorii dla dzieci. To jest 15 parominutowych bajeczek. Ukazują się w częściach po trzy, czyta je Jacek Rozenek, a realizuje wydawnictwo Postępowe Studio. Bajki noszą tytuł „Aleki i Pan Parasol” i już dostępne na platformie LEGIMI. A latem planuję kolejną książkę z wydawnictwem Filia i tutaj postanowiłam pójść tropem popularnej obecnie her story. Są już książki czy wystawy, których bohaterkami zostały zapomniane malarki czy rzeźbiarki, a ja postanowiłam napisać o kobietach w muzyce. Bo w tej dziedzinie sztuki też mamy postaci, które dokonały rzeczy wspaniałych, ale były kobietami, w związku z tym zostały kompletnie zepchnięte w niewidoczne rejony świadomości publicznej. Postanowiłam trochę się nad tym pochylić i latem planuję pierwszą część poświęconą kompozytorce, która się nazywała Tekla Bondarzewska.

O rany, autorka sławnej „Modlitwy dziewicy”!

Cieszę się, że pani zna, a wie pani o niej cokolwiek więcej? Bo my, ludzie XXI wieku, o Tekli prawie nic nie wiemy. Są na jej temat tylko dwie książki autorstwa Beaty Michalec. Przez długi, długi czas myśmy nawet nie wiedzieli, gdzie ona się urodziła. Całe zamieszanie powstało stąd, że jej rodzina mieszkała w Mławie (i tam Tekla przyszła na świat), ale jej ojciec, kiedy ją rejestrował, był w Warszawie, bo tam załatwiał sobie pracę. On był urzędnikiem, to jest bardzo mało patriotyczne i mało nosne dzisiaj, carskim. Rodzina w ogóle była bardzo silnie związana z administracją carską, to był przecież czas zaborów. I ów ojciec, ponieważ akurat był w Warszawie, to tam zarejestrował córkę. Dopiero przy akcie ślubu Tekli potwierdzono, że urodziła się w Mławie. Jest to też jedyne miejsce, gdzie możemy znaleźć odręczny podpis kompozytorki.

Dlaczego więc Tekla i czy będzie to powieść, czy oparta tylko na faktach biografii?

To, co wiemy o niej, chcę zbeletryzować - to, żeby w ogóle jej nazwisko zaczęło funkcjonować. Bo ona zrobiła nieprawdopodobną karierę. „Modlitwa dziewicy” zawojowała absolutnie cały świat. A ta kompozytorka jest w Polsce nieznana, lekceważona. Więcej w Japonii wydano jej utworów, także nagrań, niż w Polsce. Właściwie w Polsce była traktowana przez krytyków jako takie tam, przepraszam, że użyję tego słowa, badziewie, disco polo XIX wieku, taka muzyka delikatna, raczej okolicznościowa niż koncertowa. I oczywiście tak, to jest lekka muzyka salonowa. Oczywiście to nie jest Chopin, natomiast trudno odmówić talentu Tekli Bondarzewskiej. I z całą pewnością nie można zapomnieć o tym, że zrobiła nieprawdopodobną karierę. Trochę poza swoją świadomością, bo czasy były takie, że nie do końca informacje o tej sławie do niej docierały. No i dosyć młodo zmarła, więc po prostu nie do czekała pewnych wydarzeń. W każdym razie jest to postać, która mnie zainspirowała.

A jakiś kryminał? Może znów z udziałem koszalińskiej dziennikarki radiowej?

Kryminał planuję jesienią, ale będzie to początek nowej serii, której główną bohaterką będzie policjantka. I tu jesz-



„Piernikowe serce” Piotra Wereśniaka miało kilka premier, ale główna odbyła się w Złotych Tarasach w Warszawie. Agnieszka Lis wraz z ekipą filmowców była gościem honorowym jako autorka powieści „Marcepanowa miłość”, na której oparto film

cze za wiele powiedzieć nie mogę, bo to tak naprawdę przygotowałam dopiero wstępny koncept. To jest plan z wydawnictwem Purple Book. Serię z koszalińską Bożenką zakończyłam. Przynajmniej na razie ;-)

To jak to tak, rok wydawniczy bez Koszalina?

Na Koszalin mam inny plan. Mam nadzieję, że się ziści. Mianowicie we współpracy z koszalińskim Teatrem Propozycji Dialog im. Henryki Rodkiewicz chcemy wystawić sztukę, monodram oparty na jednej z moich książek, toczących się częściowo w Koszalinie i Sarbinowie, czyli „Pozytywce”. Jest już scenariusz, zaczęły się prace reżyserskie, więc projekt jest zawiązany. To nie będzie moja pierwsza współpraca z tą sceną. W ubiegłym roku, w kwietniu, w teatrze „Dialog” został wystawiony mój monodram „Druga”, w którym gra Katarzyna Traczyńska, także z pochodzenia Koszalinianka, aczkolwiek, co brzmi trochę ironicznie, nie spotkałyśmy w Koszalinie. Chociaż jesteśmy w bardzo podobnym wieku, nasze

ścieżki zetknęły się dopiero w Warszawie.

No to rzeczywiście bardzo pracowity rok się pani zapowiada...

Powiedziałabym, że dosyć przeciętny (śmiech). Są jeszcze drobniejsze rzeczy. Na przykład opowiadanie dla wydawnictwa Rebel Rose, które szykuje antologię o miłości. Plus teksty w antologiach Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Stowarzyszenia Autorów Pol-

skich czy grupy poetyckiej Kwadrat. Staram się zawsze brać udział w tych antologiach, to jest dla mnie wielka przyjemność. Tam są po prostu inne teksty, właściwie nowele, bardziej artystyczne, bardziej wymagające, takie do pomyślenia. To inne pisanie, inna literatura. Ja ten gatunek lubię, bardzo mi odpowiada i bardzo chętnie do tych piszę. Cieszę się oczywiście każdorazowo, że mnie do nich wciąż zapraszają.

Zaczęłyśmy od książki świątecznej, to i tak wypadłoby skończyć. Będzie dalszy ciąg sfilmowanej „Marcepanowej miłości”?

Będzie książka zimowa, trochę świąteczna, ale z nowej serii. Nie planuję kontynuacji przygód poprzednich bohaterów, przynajmniej na razie od nich odpoczywam. Będzie zupełnie inny koncept i inne miejsce. Ale wierzę, że również spodoba się Czytelnikom. ©

PIERNIKOWE SERCE

„Piernikowe serce” to świąteczna komedia romantyczna z dużą dawką humoru, emocji i aromatu pierników! Pachnie cynamonem, rozbrzmiewa śmiechem i rozgrzewa serca nawet najbardziej skłóconych bohaterów.

Opis: Justyna i Czarek wracają z synem Jankiem do rodzinnego domu w Toruniu, gdzie czeka ich nie tylko konfrontacja z przeszłością, ale też szansa na nowy początek. Janek zaprzyjaźnia się w Toruniu z Zuzą. Dagmara próbuje spełnić marzenie zmarłego ojca i otworzyć kawiarnię, choć życie nieustannie rzuca jej kłody pod nogi. Samanta i Paweł, sąsiedzi z temperamentem, wnoszą do tej układanki mnóstwo koloru, energii i nieoczekiwanych zwrotów akcji.

To film o rodzinie, miłości i drugich szansach. O tym, że nawet jeśli wszystko się sypie, święta potrafią posklejać to, co najważniejsze. Bo przecież w święta wszystko jest możliwe – nawet cud.

Reżyseria Piotr Wereśniak. Scenariusz Michał Zasowski i Marta Nowakowska. Występują: Jakub Strach, Weronika Mania, Stefan Pawłowski, Olga Boładź, Katarzyna Żak, Barbara Kurdej-Szatan, Piotr Głowacki, Dorota Zięciewska, Małgorzata Socha, Miłkołaj Roznerski, Bogdan Kalus. Premiera: 28 listopada 2025.

370 LAT TEMU W ŁAŃCUCIE KRÓL ODWAŻYŁ SIĘ STAWIĆ CZOŁA SZWEDOM

20 stycznia 1656 roku zawiązana została przy boku Jego Królewskiej Mości pierwsza w dziejach konfederacja koronna - konfederacja łańcucka. Była porozumieniem, na czele którego stanął sam król. W zamkowych wnętrzach zapadła uchwała o dalszym prowadzeniu walk ze Szwedami

Arkadiusz Bednarczyk

W czasie potopu szwedzkiego (1655-1660), który korzenie miał jeszcze w pretensjach dynastycznych Zygmunta III Wazy o szwedzki tron (należny mu po ojcu), król Jan Kazimierz wraz ze swoimi stronnikami schronił się na Dolnym Śląsku. Wkrótce jednak na radzie senatu postanowiono o powrocie króla do Rzeczypospolitej. Jan Kazimierz, ten były kardynał, niedoszły wicekról Portugalii, był człowiekiem bardzo chwiejnym. Zdobył się jednak na odwagę kontynuowania wojny ze Szwedami. Młody Waza był też człowiekiem sprzecznym: „z równą intensywnością nawiedzał święte obrazy Madonn, jak i... komnaty niewieście”.

Trasa powrotu króla wiodła przez Karpaty. W Nowy Rok Pański 1656 król był już w majątku księcia Jerzego Lubomirskiego (marszałka wielkiego koronnego) w Lubowli na Spiszu.

W drodze do Łańcuta król ze swoją świtą zatrzymał się w krosznieńskim klasztorze franciszkanów, miał wówczas paść na kolana przed tamtejszym wizerunkiem Madonny (po otrzymaniu pomysłu wieści o obronie Jasnej Góry) i nazwać Ją Królową Polski. 18 stycznia Jan Kazimierz wjechał w uroczystym orszaku do Łańcuta. W pięknym barokowym pałacu witał go gospodarz - książę Jerzy Sebastian Lubomirski. Zamek łańcucki, wybudowany w typie „palazzo in forteca” był trudną do zdobycia fortecą, a zgromadzonych tu zapasów starczało na wiele tygodni obrony.

Pełen ognia i ambicji

Księcia hetmana Jerzego Sebastiana Lubomirskiego zapamiętano przede wszystkim jako hojnego kolatora świątyni świętego Krzyża i sprowadzenia z Podolińca do Rzeszowa zakonu pijarów. W Łańcucie książę podejmował króla, z którym potem wszedł w konflikt i drogo za to musiał zapłacić. Ambasador francuski w Rzeczypospolitej tak charakteryzował księcia Jerzego Sebastiana Lubomirskiego: „Marszałek jest pierwszą osobą w kraju, najbogatszy, pełen ognia i ambicji, śmiały i przedsiębiorczy, myśli niewątpliwie o koro-



18 stycznia Jan Kazimierz wjechał w orszaku do Łańcuta. Witał go gospodarz – książę Jerzy Sebastian Lubomirski

nie, bo na moją uwagę nie odpowiedział, jakkolwiek możnoby było w mocy przywileju wydanego przez króla Jana Kazimierza Wazę - z racji opieki nad swoimi dziećmi, zrodzonymi z córki Mikołaja Ligęzy - Konstancji, właściciel Rzeszowa. Konstancja już wówczas nie żyła, zmarła w 1648 roku. Po jej śmierci dla owdowiałego księcia dedykowano piękną mowę pogrzebową - „ECLIPSIS LUNAE” - opiewano w niej zasługi księcia dla Rzeczypospolitej, w końcowej zaś części utwór zawierał słowa pocieszenia dla owdowiałego księcia, iż „Konstancja po śmierci przestąpiła się w Księżyc na niebie i będzie dla księcia świecić”... Pogrzeb Konstancji miał miejsce 26 marca 1648 roku i pochowana została najprawdopodobniej pod ołtarzem św. Antoniego Pustelnika w katedrze wawelskiej w kaplicy Kmitów i Lubomirskich (dziś już nieistniejącej). W 1650 roku książę wybrał się na pielgrzymkę jubileuszową do Rzymu.

Kolejną żoną księcia została Barbara z Tarłów córką kasztelana wiślickiego Jana Tarły. Była już wdową po Janie Aleksandrze Daniłowiczu. Jak pisał Kasper Niesiecki, autor Herbarza, Barbara „szczególniej była nabożna do Najświętszej Marii Panny, któ-

rej do częstochowskiego obrazu dała koronę swoją ślubną szczerozłotą, drogiemi kamieniami obśadzana, a także suknię także złotem i srebrem prześciełaną”. Barbara ofiarowała także i pierścienie insze i bogate klejnoty. Barbara zapamiętana była w Łańcucie z wydanego przywileju z 1671 roku, w którym nadaje Żydom, obywatelom łańcuckim „prawo na dwanaście domów do mieszkania”. Wydała również prawa dla cechu kuśnierzy. Lubomirska w roku 1682 potwierdziła przywilej dla miejscowych tkaczy i poleciła, aby płóciennicy opiekowali się Bractwem Aniołów Stróży. Można dobrać jej życzyła także sobie, aby w procesjach członkowie Bractwa paradowali w odświętnych, białych kapach, na których mieli wyszyty wizerunek Michała Archanioła. Skądinąd wiemy, iż do Bractwa oprócz tkaczy należeli również wspomniani, miejscowi kuśnierze.

Nuncjusz apostolski w Łańcucie

W czasie potopu szwedzkiego nasz książę opowiedział się po stronie polskiego króla. W styczniu 1656 roku na zamku łańcuckim Jan Kazimierz Waza zastanawiał się, jak uchronić Rzeczpospolitą przed najeźdźcą szwedzkim. Rezultatem łańcuckiego spotkania była podpisana 20 stycznia konfederacja koronna, a na jej czele stanął sam król. Zawiązana została przy boku Jego Królewskiej Mo-

ści pierwsza w dziejach konfederacji koronna - w przeciwnieństwie do dotychczasowych konfederacji zawiązywanych w czasie bezkrólestwa lub - co gorsza - przeciwko królowi (tzw. rokocze). Konfederacja łańcucka była porozumieniem, na czele którego stanął sam król. W zamkowych wnętrzach zapadła uchwała o dalszym prowadzeniu walk. Wśród sygnatariuszy aktu łańcuckiej konfederacji znaleźli się najważniejsi dostojnicy, hetmani, rotmistrzowie. Na dokumencie podpisy swoje złożyli m.in. biskup przemyski Andrzej Trzebicki, hetmani: wielki koronny Stanisław Potocki i polny koronny Stanisław Lanckoroński, regimentarz Stefan Czarniecki i marszałek wielki koronny Lubomirski. Zapadła uchwała o dalszym prowadzeniu walk. Wraz z królem Janem Kazimierzem przebywał w Łańcucie nuncjusz apostolski arcybiskup Piotr Vidoni, który w wysłanych z Łańcuta 17 i 28 stycznia listach do Rzymu informował papieża o przygotowaniach króla do walki z najeźdźcą szwedzkim i rozmowach prowadzonych z wysłannikami króla do Lwowa w celu przygotowania tam jego kwietniowej wizyty.

Nie obeszło się bez zgrzytu na łańcuckim spotkaniu: Jan Kazimierz powierzył dalsze prowadzenie kampanii wspomnianemu już regimentarzowi Stefanowi Czarnieckiemu, czemu przeciwny był Jerzy Sebastian Lubomirski. Zaraz też po nara-

dzie łańcuckiej Stefan Czarniecki ruszył z dwoma pułkami pod Sandomierz.

Skonfliktowany z królem - poszło o... kobiety

Książę Lubomirski popadał jednak w konflikty z królem Janem Kazimierzem. Dwór królewski wytoczył na przykład księciu proces o zwrot prywatnego szybu solnego „Kunegunda” koło Wieliczki, z którego Lubomirski podkrażał królewską sól i dzięki temu zarabiał spore pieniądze. Przedstawiciel specjalnej komisji królewskiej, która na miejscu miała sprawę zbadać i wydać ostateczne orzeczenie został pobity przez księcia. Lubomirski musiał oddać szyb solny i przeprosić króla. Jedną z przyczyn konfliktu była kobieta - poszło o rękę wdowy po marszałku nadwornym Adamie Kazanowskim, o którą Lubomirski zabiegał, a którą król przeznaczył Hieronimowi Radziejowskiemu. Lubomirski był oficjalnie oskarżony o planowanie obalenia króla, podburzanie szlachty przeciw królowi, próbę przejęcia władzy, zdradę stanu, przekupstwa. Został skazany na karę śmierci, konfiskatę dóbr i utratę czci. Szlachta oskarżała go także o złamanie równości szlacheckiej, bo używał tytułu księcia Rzeszy.

Ostatecznie książę Lubomirski został przez króla przywrócony do czci, lecz nie do urzędów, miał przeprosić władzę i udać się na wygnanie do Wrocławia, gdzie zmarł w 1667 roku. Król jed-



Książę Sebastian Lubomirski (portret z Muzeum w Lubowli)



Król Jan Kazimierz Waza (fresk z klasztoru dominikanów w Jarosławiu)

nak zrezygnować musiał z planów elekcji „vivente rege” (za życia króla; podczas której to monarcha miałby wpływać na wybór swojego następcy). Na zamku łańcuckim po śmierci księcia rezydowała druga żona Barbara wraz z synami. Zeszła z tego świata w 1689 roku, jak pisał Niesiecki „w Krakowie u świętego Piotra pochowana, któremu też dobroczynną rękę podała”.

W dziewiętnastym stuleciu w „krakowskim Czasie” ukazała się krótka monografia Łańcuta, w której autor podpisujący się inicjałami A.K.H. wspominał, że w 1862 roku w kościele parafialnym, od zachodu znajdowało się wejście do krypt, w którym jest siedem trumien. „Najstarsza z tych trumien miała przechowywać zwłoki Barbary, drugiej żony księcia Jerzego Sebastiana Lubomirskiego. W drugiej zaś miał leżeć jeden z synów Barbary Franciszek Sebastian, zmarły w 1699 roku odnowiciel kościoła parafialnego w Łańcucie.

Socrealizm nad Wisłą i po polsku

Za datę wprowadzenia w życie socrealizmu uznaje się 20 stycznia 1949 r. To wtedy w Szczecinie rozpoczął się IV Zjazd Literatów Polskich, na którym ogłoszono nową doktrynę

Mariusz Grabowski

Na początek upolitycznione miały być dzieła literackie. Potem socrealizm, czyli tzw. realizm socjalistyczny objąć miał inne obszary: architekturę, malarstwo, teatr, film i muzykę. W ciągu trzech dni komunistyczna władza narzuciła Polakom nowy, sowiecki sposób tworzenia polskiej kultury.

W duchu leninowskim

Socrealizm mógł zdumiewać, ale na gruncie idei nie był niczym nowym. Od lat 30. istniał w najlepsze w sztuce radzieckiej i postulował „zgodność artystycznej wizji świata z ideologią marksizmu, tzw. typowość obrazu artystycznego, ludowość, uprzywilejowanie tematyki pracy i tradycji proletariatu”.

W tomie „Socrealizm po polsku: studia i szkice” pod redakcją Marka Hendrykowskiego (Poznań 2025) znaleźć można osobę personalnie odpowiedzialną za pomysł dogłębnego usocrealnienia kultury - Maksyma Gorkiego, piewę klasy robotniczej i jej znoju za czasów samodzielnego państwa. Po raz pierwszy termin „realizm socjalistyczny” pojawił się w „Literaturnej Gazecie” z 23 maja 1932 r., a proklamowany został dwa lata później na Zjeździe Pisarzy Radzieckich w Moskwie.

Gorki ogłosił wówczas, że dzieło sztuki powinno posiadać „realistyczną formę i socjalistyczną treść”, zgodną z ideami marksizmu i leninizmu. Uchwały KC KPZR „O polityce partii w dziedzinie literatury pięknej” z 1925 r. i „O przebudowie organizacji literacko-artystycznych” z 1932 r. uznały tę zasadę za element doktryny komunistycznej.

Duch tow. Stalina

Po wojnie realizm wkraczał konsekwentnie do państw demokracji ludowej, stając się propagandowym narzędziem tamtejszych partii komunistycznych. W Polsce momentem zwrotnym stał się właśnie ów szczeciński Zjazd Literatów. Konkretnie Związek Literatów Polskich, bo tak miała brzmieć nazwa nowej organizacji.

„Literatów miał nadzorować członek Sekretariatu KC PZPR, Jakub Berman, uznawany

za jedną z najbardziej wpływowych osób na szczytach komunistycznej władzy. Za wprowadzenie sowieckiego kanonu realizmu socjalistycznego do polskiej literatury odpowiadał szef Wydziału Kultury KC PZPR Stefan Żółkiewski. Na czele związku stanął Leon Kruczkowski, który zastąpił Jarosława Iwaszkiewicza, uznanego przez komunistów za »przeżartego przedwojennymi nawykami« - tak owe polityczne meandry tłumaczył dla PAP w 2024 r. prof. Andrzej S. Kowalczyk, historyk literatury.

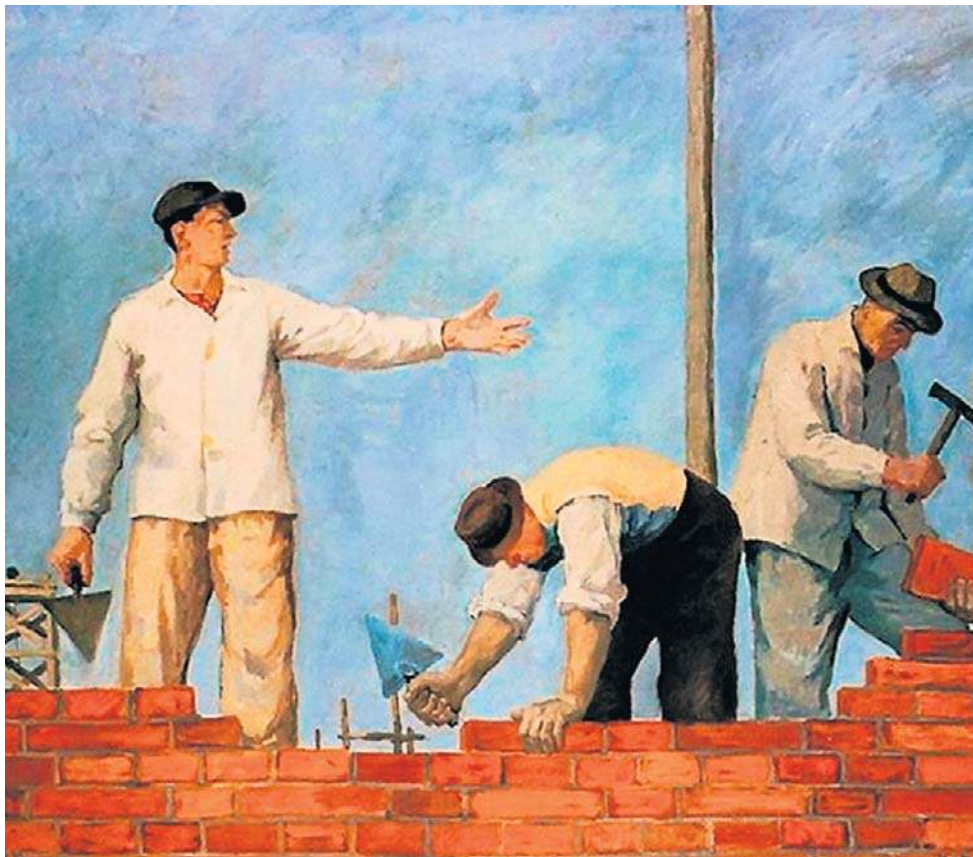
Swoją rolę odegrał w Szczecinie także wiceminister kultury Włodzimierz Sokorski. „Jeżeli w Związku Radzieckim dokonano zasadniczego odkrycia w postaci metody socjalistycznego realizmu, to rzecz prosta, jest ono w sensie naukowym obowiązujące nie tylko dla tego społeczeństwa i narodu, który odkrycia dokonał, lecz także dla wszystkich innych narodów” - grzmiał.

„Partio, prowadź!”

Ideowych podstaw socrealizmu najlepiej szukać w wypowiedziach Stefana Żółkiewskiego, partyjnego ideologa, ale jednocześnie filozofa i historyka literatury. W Szczecinie, w referacie programowym zjazdu tłumaczył: „Niech Związek staje się centrum artystyczno-naukowym uczenia pisarzy rzetelnej wiedzy o świecie, przełamywania drobnomieszczańskich przesądów agnostycznych, rozbijania muru dzielącego literaturę od współczesności, od życia mas”.

Jaka zatem miała być odtąd socrealistyczna literatura polska? Bohaterowie mieli być pozytywni, idący z duchem czasu i zwalczający reakcję, kler, kułaków i szpiegów-sabotażystów. Białoczarowy schemat zwykle obejmował także osobę wzorowego aktywisty partyjnego lub młodzieżowego, przodownika pracy, lub robotnika, który dojrzał lub już dojrzał do akceptacji komunistycznej ideologii. Ideowym bohaterem socrealistycznego utworu mógł być funkcjonariusz organów bezpieczeństwa, który walczył z kontrewolucją.

Po chwilowym zdumieniu literaci, niemal zgodnie i z pomi-



Nie tylko pisano utwory literackie, ale i malowane. Na zdjęciu obraz Aleksandra Kobzdeja „Podaj cegłę” z 1950 r. (Muzeum Narodowe we Wrocławiu)

niem kilku outsiderów, podchwycili nowe idee. Pierwszymi orędownikami stylu socrealistycznego w literaturze polskiej byli autorzy skupieni wokół komunistycznej „Kuźnicy”, na łamach której zaczęto propagować charakterystyczną dla tamtej epoki literaturę „produkcyjną”.

Akcja produkcyjniaków rozgrywała się zwykle w środowisku wielkoprzemysłowym, a głównym bohaterem był zazwyczaj uświadomiony klasowo robotnik. Fabuła i postaci w sposób schematyczny przedstawiały zwycięstwo komunizmu i porażkę przeciwników nowego systemu. Do kanonicznych przykładów tej literatury zaliczyć można m.in. „Nr 16 produkuje” Jana Wilczka, „Na przykład Plewa” Bogdana Hamery, „Przy budowie” Tadeusza Konwickiego czy „Węgiel” Aleksandra Ścibora-Rylskiego.

Prozie towarzyszyła poezja o charakterze zaangażowanym społecznie, z takimi tuzami jak Artur Międzyrzeczki, Adam Ważyk, Mieczysław Jastrun, Wiktor Woroszyński, Tadeusz Borowski,

czy późniejsza noblista Wisława Szymborska.

Forma i treść

Najbardziej efektownie socrealizm zmanifestował się w architekturze. Odbudowa zniszczonego kraju sprzyjała ogromnym przedsięwzięciom, których mecenasem było państwo. W lipcu 1949 r. prezydent Bolesław Bierut pouczył: „Nasi architekci w większym stopniu powinni nawiązywać do zdrowej tradycji naszej architektury narodowej, przystosowując je do nowych zadań i nowych możliwości wykonawczych i wkładających w nie socjalistyczną treść”.

Modelowymi przykładami architektury socrealistycznej są Nowa Huta, MDM, czyli Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa w Warszawie wraz z reprezentacyjnym placem Konstytucji, czy budynek Okręgowej Rady Związków Zawodowych w Katowicach. Jednak szczególne miejsce wśród budowli socrealistycznych w Polsce zajmuje stołeczny PKiN - Pałac Kultury i Nauki, zaprojektowany przez zespół architektów radzieckich pod kierunkiem Lwa Rudniewa.

Potężna skala gmachów miała świadczyć o wielkości idei socjalistycznej oraz o sile władzy i obiektywnej słuszności ich działań. Wielkość budynków powinna być utożsamiana ze znaczeniem ogromnych przemian polegających na tworzeniu nowego, sprawiedliwego, szczęśliwego społeczeństwa.

Artyści dla ludu

Socrealistyczna fala na blisko dekadę zaważnęła życiem intelektualnym Polaków. W teatrach wystawiano „Brygadę szlifierza Karhana” w inscenizacji Kazimierza Dejmka, Aleksander Kobzdej malował „Podaj cegłę”, a Alina Szapocznikow tworzyła monument o skromnej, acz wymownej nazwie „Stalin”. Budowie socjalizmu towarzyszyły pieśni masowe, m.in. walczyk „Na prawo most, na lewo most” Alfreda Gradsteina czy suita „Śląsk pracuje i śpiewa” Jana Adama Maklakiewicza od słów Stanisława Młodożeńca.

Tak sprawdzały się prorocтва I sekretarza PPR, Bolesława Bieruta, wygłoszone podczas uroczystego otwarcia rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu 16 listopada 1947 r.: „Artyści dotychczas byli oddzieleni nieprzebytym murem od szerokich mas narodu, tworzących w pocie czoła materialne podstawy ich wiedzy, kultury i sztuki, obowiązkiem twórcy, kształtującego duchową dziedzinę życia narodu, jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknotę i potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze do własnego wysiłku, którego celem głównym i podstawowym winno być podniesienie i uszlachetnienie poziomu życia tych mas”.

Pokuta klerków

Sen o socjalizmie w narodowej formie zaczął się kruszyć po śmierci Stalina, a skończył się wraz z odwilżą października 1956 r. Symboliczny wymiar miały wydanie „Poematu dla dorosłych” Adama Ważyka i wystawa w warszawskim Arsenale w lipcu 1955 r. („Przeciw wojnie - przeciw faszynomowi”), stanowiąca zapowiedź powrotu do sztuki niezależnej od politycznego nacisku. Ale prace Anny Szapocznikow czy Andrzeja Wróblewskiego też się na niej znalazły.

Leszek Kołakowski, w czasach stalinowskich gorliwy komunist, tak rozliczał się po latach z socrealizmem, a konkretnie z jego architekturą: „Istotną cechą architektury była monumentalna fasadowość o cechach parodystycznego-bizantyjskich. Była to także typowa architektura parweniuszy, oparta na estetyce, którą można streścić hasłem »im więcej, tym piękniej«”.

A Mieczysław Jastrun, jeden z gorliwszych socrealistów, spowiadał się w „Dzienniku” (zapis z 16 grudnia 1956 r.) słowami: „Jeśli ocalałem, mimo wszystko, to dlatego, że nigdy nie godziłem się na dyktaturę i Stalina, że nienawidziłem głęboko w sercu zbrodni obozów, szaleństwa biesów rosyjskich, że kochałem moją naprawdę bolesną, najnieszczęśliwszą ze wszystkich ojczyznę”.

ROZWIĄZANIE

Pamiętajcie o Poem!

19 stycznia minie kolejna rocznica urodzin Edgara Allana Poeo (urodził się 19 stycznia 1809 roku w Bostonie, zmarł 7 października 1849 r. w Baltimore) – poety, pisarza i redaktora. Nowelami „Zabójstwo przy Rue Morgue” i „Złoty żuk” zapoczątkował gatunek noweli kryminalnej. Stworzył także postać genialnego detektywa – C. Auguste’a Dupina.

ZA TYDZIEŃ

Kariera Yaakova Levsteina, kibera z Irgunu

Organizacja terrorystyczna Irgun działała w Palestynie w latach 1931-1948. Za cel stawiała sobie walkę z Arabami i Brytyjczykami.



FOT. CC

Czas brutalni w kaszkietach. Prawdziwa historia peaky blinders

Wojciech Rodaczek
redakcja@polskatimes.pl

W popularnym serialu Tommy Shelby i jego ludzie przypominają amerykańskich gangsterów ery prohibicji. Mało ma to jednak wspólnego z historycznymi peaky blinders.

Wśród setek krwawych incydentów w miejskich zaułkach wiele kończyło się tragicznie. Pewnej lipcowej nocy w 1901 r. policjant Charles Gunter został wezwany do awantury rodzinnej w śródmiejskiej dzielnicy Gosta Green. Po drodze spotkał trzech młodych rzemieślników – George’a Fowlesa, Josepha Adeya i Johna Davisa – którzy tego popijali na rogu, śpiewając przy tym wniebogłosy. Funkcjonariusz zwrócił im uwagę, że mogliby zachowywać się troszkę ciszej, po czym ruszył na interwencję do pobliskiego domu. Owa krótka rozmowa, jak się później okazało, była błędem, który kosztował go życie.

Po spacyfikowaniu domowej awantury Gunter wyszedł na ulicę. Kilknastu zbirów w kaszkietach, w tym wspomniany wyżej trzej młodzieńcy, zaczęli rzucać w funkcjonariusza cegłami. Jedna z nich trafiła go w czoło. Zgromadzeni „sprzedali” mu jeszcze parę kopniaków, po czym rozbiegli się na wszystkie strony. Niedługo potem Charles Gunter trafił do szpitala, jednak nie udało się go uratować.

Zupłyłem lat ci wiktoriańscy przestępcy obrośli czarną legendą, która dała zacząć fabule popularnego na całym świecie gangsterskiego serialu BBC. W istocie, jak wiele popkulturowych wytworów, ma on niewiele wspólnego z prawdą historyczną o peaky blinders.



Gangsterzy w wersji telewizyjnej. Pilot serialu „Peaky Blinders” miał premierę 13 września 2013 roku na antenie BBC. Nakręcono sześć sezonów

postępu epoki rewolucji przemysłowej. To tam opatentowano wiele przełomowych wynalazków: maszynę przędzalniczą, dzięki której zmechanizowano przemysł włókienniczy, nowoczesny wielki piec, który zmienił oblicze hutnictwa, a przede wszystkim maszynę parową Jamesa Watta. To tutaj, w dzielnicy Soho, od 1766 roku działała fabryka Matthew Boultona, pioniera masowej produkcji przy zastosowaniu linii montażowej.

Wraz z dynamicznym rozwojem wielkiego przemysłu w mieście nastąpiła demograficzna eksplozja. W 1801 r. jego populacja liczyła 73 tys. osób, by sto lat później znacznie przekroczyć pół miliona. Birmingham stało się drugą co do wielkości – po Londynie – metropolią Wielkiej Brytanii. Obraz miał jednak jedną sporą rysę. Był nią systematycznie narastający problem brutalnej przemocy, która należała do powszechnych zjawisk w robotniczych kwartałach. Skąd się ona brała?

Około 30 proc. mieszkańców miało poniżej 15 lat, a większość nie przekroczyła trzydziestki. Większość populacji zamieszkiwała ciasno zabudowane i biedne proletariackie dzielnice, gdzie nie można było uświadczyc ani skweru, ani tym bardziej parku. Siłą rzeczy osiadał ich życia była ulica. W okolicach pubów dokazywali również młodzi robotnicy po fajrancie. Zbierali się grupami na winiarkach, by oddawać się różnym rozrywkom, w tym grze „w monetę”, uważanej za plagę.

Majchrem w szyję

Życie w gęstwinie robotniczych domków powodowało zawzięcie silnych więzów między sąsiadami i wytworzenie lokalnych tożsamości. Każda ulica miała swój chuligański gang złożony z młodzieży i robotników. Owe bandy często walczyły ze sobą na kamienie i kije w obronie „mikro-ojczyzn” lub by zemścić się na oprawcach pobitych druhów. Niekiedy w tych bitwach brało udział nawet po pięćset osób.

Coraz to dochodziło do takich sytuacji, jak 7 marca 1875 r.

W jednej z gospód dwaj policjanci aresztowali mężczyznę podejrzanego o włamanie. W obronie pojmanego wystąpiło przeszło dwudziestu jego kolegów z gangu przebywających wówczas w lokalu. Na ulicy otoczyli policjantów, obrzucając ich błotem i kamieniami. Ci, wystraszeni nie na żarty, wypuścili pojmanego.

Wtedy do akcji włączyło się kolejnych dwóch funkcjonariuszy, którzy przybyli na odsiecz otoczonym kolegom. Skończyło się to dla nich tragicznie: jednego z policjantów obito pretami i pocięto mu twarz, a drugiemu w czasie bójki wbito nóż w szyję. Pierwszy został kaleką na całe życie, drugi zmarł. Po awanturze, której kres położyła dopiero zmasowana interwencja mundurowych, zatrzymano 12 napastników w wieku od 17 do 23 lat. Znamienne, że wszyscy byli już wcześniej karani za ataki na policjantów. Ostatecznie jednego z nich skazano na śmierć, a czterech na dożywocie.

Peaky blinders

Nazwa „peaky blinders” pojawiła się po raz pierwszy na łamach

prasy w numerze dziennika „Birmingham Mail” z 24 marca 1890 roku. Tym mianem określono trzech zbirów, którzy dwa dni wcześniej ciężko pobili w biały dzień niejakiego George’a Eastwooda, niemal rozbijając mu czaszkę ciężkimi kłami od pasów („podpadł” swoim oprawcom, bo... pił bezalkoholowe piwo imbirowe).

Określenie to miało ścisły związek z modą, jaka zapanowała w tym czasie wśród członków slogging gangs. Strój podążający za trendami proletariackiego chuligana składał się z ciężkich skórzanych butów, spodni dzwonów, marynarki, kamizelki, jedwabnego szalika i przede wszystkim kaszkietu noszonego zawiadacko na bakier – tak, że zasłaniał jedno oko. Od tego ostatniego elementu ubioru brała się nazwa całej subkultury (peaky – od ang. szczyt; tutaj chodzi o przekrzywiony „szczyt” kaszkietu; blinder – od ang. oślepić; tutaj chodzi o fakt zasłaniania jednego oka).

Przy okazji trzeba zaznaczyć, że historyczni peaky blinders, w odróżnieniu od bohaterów serialu BBC, nigdy nie używali kaszkietów z wszytymi żyłkami jako broni. Eksponując ten wątek, producenci serii powtarzali „miejskie legendy”, które na temat zbirów z Birmingham powstały dopiero w latach 30. XX wieku.

To jest Henry

Przedstawmy dokonania jednego z typowych peaky blinders. Henry Lightfoot, rocznik 1873, pochodził z robotniczej birminghamskiej rodziny. W pierwszy konflikt z prawem popadł, gdy miał 13 lat. Ukradł kaczkę, za co przesiedział 7 dni w więzieniu. Dwa lata później za kradzież ośmiu miedzianych kłamek przesiedział kolejne dwa lata.

W następnych latach trafił do więzienia jeszcze kilkakrotnie za tak „spektakularne” przestępstwa, jak kradzież kurtki czy gołębia. Gdy miał 20 lat, trzy razy wylądował na dłużej za kratkami za przestępstwa związane z przemocą: sześciokrotnie za pobicie i dwukrotnie za napad na funkcjonariusza.

Bliźnich najbardziej bulwersowały powtarzające się codzienne napady młodocianych chuliganów na policjantów. Osiągnęły one rekordowy poziom w 1898 r., gdy dopuszczono się ich 623 razy (ogółem w mieście służyło wówczas 700 mundurowych). Dla wielu funkcjonariuszy kończyły się one kalectwem bądź śmiercią. Prasa domagała się od władz zdecydowanej reakcji. Nazywała peaky blinders „ludzkimi paszorytami”, które „trzeba wytepić”.

Zadanie to w 1899 r. samorząd Birmingham powierzył Charlesowi Rafterowi, doświadczonemu oficerowi policji rodem z Belfastu. Ten surowy irlandzki protestant całkowicie zmienił oblicze sił prawa w Birmingham. Zwiększył liczbę funkcjonariuszy do 900. Zmienił sposób ich rekrutacji – wybierano tylko dobrze zbudowanych kandydatów o bojowym nastawieniu. Wreszcie zabronił policjantom patrolować ulice pojedynczo (jak wykazywały statystyki, znacznie częściej ich wówczas atakowano).

Serial koloryzuje

Na efekty kruczajaty nie trzeba było długo czekać. Już po 1905 roku aktywność peaky blinders znacznie spadła. Natomiast tuż przed I wojną światową pisano o epidemii przemocy w robotniczych dzielnicach Birmingham w czasie przeszłym. Co się stało? Część dawnych, skłonnych do bitki, młodocianych chuliganów dojrzała – miała dobre posady i założyła rodziny. Inni zostali skutecznie spacyfikowani przez władze. Natomiast dla kolejnego młodego pokolenia, które także mogłoby zejść na złą drogę, stworzono m.in. kluby piłkarskie i bokserskie.

Tuż po Wielkiej Wojnie peaky blinders byli już tylko bohaterami miejskich legend. Serial BBC wytworzył wokół nich kuszący mit, ale wiemy od dawna, że prawda historyczna na ogół nie jest nawet w połowie tak urzekająca, jak prawda ekranu.

Duma z Birmingham

Birmingham było w XVIII i XIX wieku światową stolicą

Slogging Gangs

Birmingham drugiej połowy XIX w. było miastem ludzi mło-

Piłka nożna Były kapitan kadry spodziewa się ciężkich bojów Biało-Czerwonych w walce o mundial

Błaszczykowski wierzy w awans

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

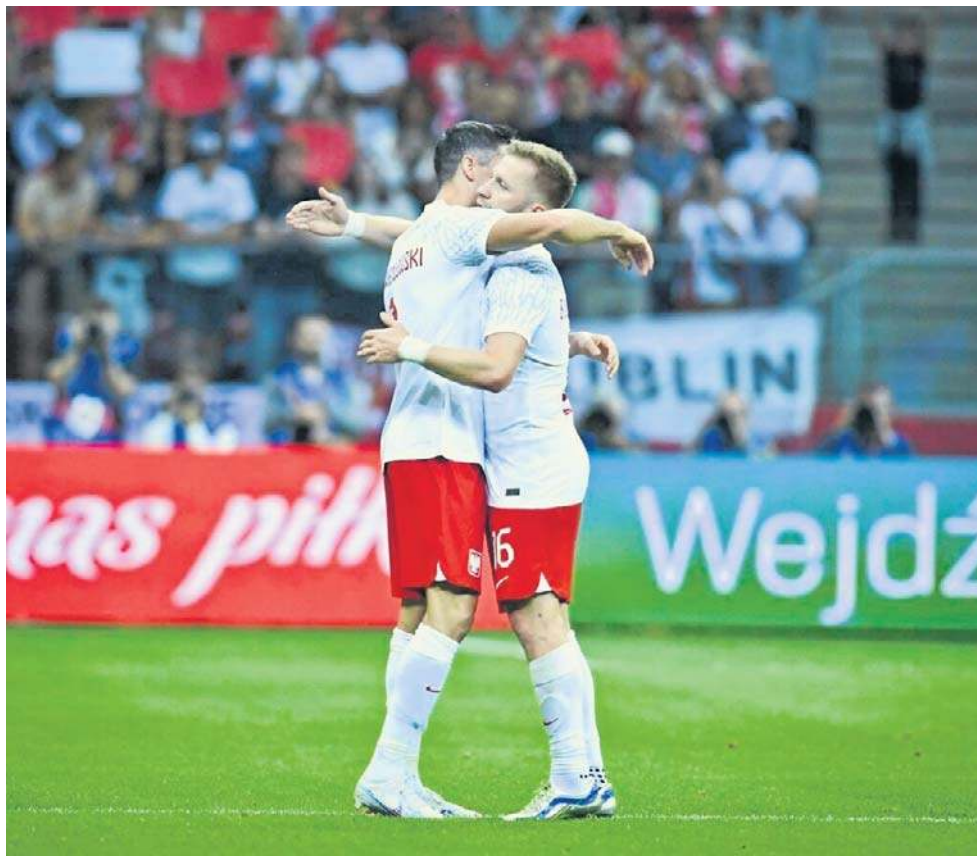
O polskim futbolu, także o reprezentacji Polski, rozmawiamy z Jakubem Błaszczykowskim, byłym kapitanem Biało-Czerwonych.

Po rundzie wiosennej Wisła Kraków, której jest Pan współwłaścicielem, jest zdecydowanym liderem 1. ligi. W klubie szykujecie się już na awans do ekstraklasy?

Pierwszą część sezonu i dwa mecze z rundy wiosennej zagraliśmy dobrze, ale jeszcze się tak nie zdarzyło, żeby do ekstraklasy awansowała drużyna, która zdobyła 43 punkty. Trzeba się przygotować na rundę rewanżową i zagrać w niej równie intensywnie oraz podejść do niej z takim samym zaangażowaniem, jak jesienią. W każdym meczu trzeba wyjść na boisko, udowodnić wyższość, strzelić jednego gola więcej niż przeciwnik, bo każdy mecz zaczyna się od 0:0. Na razie nasza sytuacja w tabeli wygląda ciekawie.

Wydaje się, że chyba tylko kataklizm mógłby Wiśle odebrać awans. Przewaga nad najgroźniejszymi rywalami, czyli Śląskiem Wrocław i Wierzą Kraków, wynosi aż 13 punktów.

Uważam, że teraz będzie trudniej. Nikogo bym nie lekceważył, a pierwsza liga jest bardzo wyrównana. Pierwszych pięć, sześć meczów będzie niezwykle istotnych. Na razie nie myślimy jeszcze o ekstraklasie. Skupiamy się na pierwszym meczu i na detalach, aby cze-



Błaszczykowski obawia się momentu, gdy grę w kadrze zakończy Lewandowski

goś nie zaniedbać, co mogłoby się niekorzystnie przełożyć na inne sprawy.

26 marca reprezentacja Polski w pierwszym meczu barażowym o awans na mistrzostwa świata podejmie w Warszawie Albanię na PGE Narodowym. Jak ocenia Pan szanse naszej kadry w tym starciu i w ogóle na wyjazd do USA, Kanady i Meksyku? Wierzę w to, że będzie awans. Cały czas wspieram chłopaków, kibicuję i życzę im tego z całego serca. Ale

zdaję sobie sprawę, że to nie będzie łatwe zadanie już w spotkaniu z Albanią. Graliśmy z nimi kilka razy i zawsze były to ciężkie boje. To, że wystąpimy u siebie na Stadionie Narodowym, będzie niezwykle istotne. Przed naszą wspaniałą publicznością zawsze gra się nam dobrze, czujemy ich wsparcie. Na miejscu zawodników skoncentrowałbym się na meczu z Albanią, a dopiero później na ewentualnym spotkaniu decydującym już o awansie na mundial.

A w nim, jeśli Polacy wygrają z Albanią, to 31 marca zmierzą się na wyjeździe z Ukrainą lub Szwecją. Kto byłby dla Biało-Czerwonych łatwiejszym rywalem w walce o awans? Trudno powiedzieć, bo jedni i drudzy prezentują podobny poziom. Mamy duże szanse i swoje atuty, żeby te dwa mecze i całe baraże wygrać. Trzeba wyjść na boisko, strzelić jednego gola więcej i udowodnić swoją wyższość.

Do formy wracają podstawowi piłkarze reprezentacji,

jak Piotr Zieliński czy Jakub Moder.

To, że Piotr ma duże umiejętności, to wszyscy wiedzą, ale w ostatnim czasie miał trochę problemów, choćby z kontuzjami, i to wybiło go z rytmu. Dobrze, że wraca do pierwszego składu w klubie. On umiejętnościami zawsze się obroni. Bardzo podoba mi się postawa Jakuba Kamińskiego - zarówno w klubie, jak i w kadrze. Ubiera duże buty, nie boi się wziąć odpowiedzialności na swoje barki i potrafi tę odpowiedzialność udźwignąć.

Nieco mniej szans na występy w Barcelonie otrzymuje w ostatnim czasie Robert Lewandowski. Jego forma w marcu może być pewną niewiadomą?

Taki zawodnik, jak Robert, z taką jakością i doświadczeniem, będzie zawsze potrzebny naszej reprezentacji. Nie ma sensu zagłądać mu w metrykę. Jeżeli ma się takie umiejętności, prezentuje się tak wysoki poziom, a to przekłada się na drużynę i jej wyniki, to ciężko jest rezygnować z czegoś, co jest wybitne. Mam nadzieję, że będzie grał w reprezentacji jak najdłużej, bo gdy przyjdzie kiedyś taki moment, że już w niej grać nie będzie, to obawiam się, że długo nie będziemy mieć zawodnika o podobnym formacie.

W lipcu 2025 roku selektorem reprezentacji Polski został Jan Urban. Przejął zespół rozbity po porażce z Finlandią, m.in. na skutek konfliktu trenera Probiezra z Lewandowskim. Pod wodzą

Urbanu drużyna narodowa rozegrała sześć meczów i wciąż jest niepokonana.

Atmosfera wokół reprezentacji się poprawiła i wyniki też. To dobry prognostyk. Myślę, że dla selekcjonera teraz najważniejsze jest to, żeby wygrać dwa mecze barażowe i awansować na mistrzostwa świata.

Głośnym echem odbił się niedawny transfer do FC Porto 17-letniego Oskara Pietuszewskiego, który przeszedł z Jagiellonii Białystok za 10 mln euro. W portugalskim klubie występują też Jan Bednarek i Jakub Kiwior. Pietuszewski wykonał dobry ruch?

Oskar ma ogromny potencjał i wielkie możliwości. W ubiegłym roku oglądałem dosyć sporo meczów na żywo naszej młodzieżowej reprezentacji i zawsze prezentował się w nich bardzo dobrze. Wydaje się, że przejście do Porto było przemyślane, a on jest bardzo poukładanym człowiekiem. Ma przy sobie też mądrych ludzi i jestem pewien, że gdyby odbiła mu przysłowiowa woda sodowa do głowy, to szybko sprowadzą go na ziemię. Życzę Oskarowi, żeby się rozwijał, występował w pierwszej drużynie jak najwięcej, był zdrowy i grał na miarę swoich możliwości. Widać, że ma ogromny talent. Natomiast musi wykonać jeszcze wiele pracy. Myślę, że przeskok z ekstraklasy do ligi portugalskiej będzie duży i pojawią się trudniejsze momenty, ale to jest chłopak, który może zrobić naprawdę dużą karierę. ©

Reforma w Lidze Narodów UEFA. Az 4 mecze w jednej przerwie na reprezentację

Jakub Jabłoński/PAP
redakcja@polskapress.pl

Piłkarska reprezentacja Polski po raz pierwszy będzie rywalizować w Lidze Narodów UEFA w drugiej dywizji, a nie z najlepszymi w Europie.

Ogłoszono, że losowanie kolejnej edycji tych rozgrywek odbędzie się 12 lutego. Tegoroczna tura wystartuje we wrześniu.

Biało-Czerwoni do Dywizji B spadli - jeszcze pod wodzą Michała Probiezra - jesienią 2024

roku, zajmując ostatnie miejsce w grupie: za Portugalią, Chorwacją oraz Szkocją, która podzieliła nasz los w barażach. Zespół prowadzony od lipca 2025 roku przez Jana Urbana (pytanie, czy po mundialu nadal będzie selekcjonerem?) przed losowaniem znajdzie się w pierwszym koszyku swojej dywizji wraz z Węgrami, Izraelem i Szkocją. Drugi utworzą Szwajcaria, Austria, Bośnia i Hercegowina oraz Ukraina, do trzeciego trafią Słowenia, Gruzja, Irlandia i Rumunia, zaś ostatnią grupę stanowią

Szwecja, Macedonia Północna, Irlandia Północna i Kosowo.

Warto przypomnieć, że z Ukrainą bądź Szwecją polscy piłkarze mogą się zmierzyć już 31 marca w finale barażu o awans do mistrzostw świata, o ile pięć dni wcześniej pokonają w Warszawie Albanię.

Zmianie uległ też harmonogram fazy grupowej LN 2026/27. Rozgrywki Ligi Narodów zostaną przeprowadzone jesienią tego roku, ale nowością będzie dużo dłuższe „okienko reprezentacyjne” na przełomie wrze-

snia i października. Przerwa w rozgrywkach ligowych potrwa 3 tygodnie, a drużyny narodowe rozegrają aż 4 kolejki - między 24 września a 6 października. Do tej pory UEFA gwarantowała dwie oddzielne reprezentacyjne przerwy w obu tych miesiącach.

Faza grupowa LN zakończy się dwiema seriami spotkań w połowie listopada (12-14.11 i 15-17.11). Zwycięzca Ligi Narodów zostanie wyłoniony w turnieju finałowym na początku czerwca 2027 r. W czterech dotychczasowych edycjach wygry-

wały Portugalia (dwukrotnie), a także Francja i Hiszpania.

Tymczasem śledzący przygotowania polskich klubów w Turcji selekcjoner Urban ocenił, jak po przeprowadzce do FC Porto kształtują się szanse na grę w pierwszej reprezentacji Oskara Pietuszewskiego.

- Z jakiej okazji Oskar miałby być nagle wyżej w hierarchii z tego powodu, że przeszedł z polskiej ligi do Porto? Tak to nie działa, ale jeśli będzie grał bardzo dobrze, to dlaczego nie? Wszyscy będziemy obserwo-

wali jego pierwsze kroki - czy dostanie szansę, a jeśli tak, to jak dużą. Może się też okazać, że gra, ale my nie potrzebujemy na tej pozycji zawodników - stwierdził szkoleniowiec naszej drużyny narodowej w rozmowie z „Interią”. - Jesienią postawiliśmy na innych zawodników i moim zdaniem wyszło dobrze także dla Oskara. Skończyło się transferem do Porto, a być może przy powołaniu do pierwszej reprezentacji wcale by nie grał albo wchodził tylko na jakieś ogony... ©

Wszyscy zadowoleni po losowaniu Ligi Konferencji

Damian Świdorski
redakcja@polskapress.pl

Lech Poznań i Jagiellonia Białystok poznały rywali w 1/16 finału Ligi Konferencji. Losowanie odbyło się w siedzibie UEFA w szwajcarskim Nyonie.

Lech Poznań trafił na KuPS Kupio, a Jagiellonia Białystok na Fiorentinę. „Kolejorz” rozpoczął walkę od wyjazdu do Finlandii, a Jagiellonia zagra pierwszy mecz - 19 lutego - w stolicy Podlasia. Na rewanż uda się tydzień później do Włoch.

Wydaje się, że Lech świetnie wylosował, choć ma zagrać na sztucznej murawie, a na takiej jesienią skompromitował się na Gibraltarze. Warto wspomnieć, że w KuPS do niedawna występował Piotr Parzyszek. Fiorentina jest natomiast uznanym klubem i dwukrotnym finalistą Ligi Konferencji. Choć włoska drużyna przeżywa słabszy okres w Serie A, a w nocy z 16 na 17 stycznia zmarł jej właściciel, to Viola powoli wygrzebuje się z kryzysu.

„Kolejorz” w fazie zasadniczej (ligowej) uplasował się na 11. pozycji. Jagiellonia była siedemnasta w stawce 36 zespołów. Zgodnie z regulaminem ekipy z miejsc 9-24 utworzyły osiem par barażowych o 1/8 finału, do której to fazy dostało się bezpośrednio osiem najlepszych klubów, w tym drugi w tabeli Raków Częstochowa. Legia Warszawa pożegnała się z Ligą Konferencji już w grudniu, zajmując 28. miejsce.

Po losowaniu trener Lecha Niels Frederiksen w rozmowie z klubowymi mediami nie sprawał wrazenia zdenerwowanego. Otwarcie przyznał,

że losowanie nie zmieniło celu Lecha w europejskich rozgrywkach.

- Już przed losowaniem wiedzieliśmy, że niezależnie na kogo nie trafimy, zmierzmy się z zespołem dysponującym sporą jakością i tak się też stanie. To nie zmienia naszych ambicji: celem dla drużyny pozostanie awans do kolejnej rundy i zrobimy wszystko, by tego dokonać - powiedział Frederiksen.

Z klubowymi mediami opinią po losowaniu 1/16 finału Ligi Konferencji podzielili się także bramkarz Jagiellonii Białystok Sławomir Abramowicz.

- Fiorentina to duża marka, duży klub. Dla nas, czyli dla klubu, miasta, regionu, możliwość goszczenia takiej drużyny będzie czymś niesamowitym. Fiorentina nie jest obecnie w najlepszej formie. Uważam, że nie jesteśmy pozabawieni szans. Oczywiście Fiorentina jest faworytem, ale umiemy grać przeciwko takim drużynom. Budujemy swoją markę. Mieliśmy już kilku topowych rywali, teraz będziemy gościli kolejnego, więc nic tylko się cieszyć. David de Gea? Kawał świetnego bramkarza o ogromnej karierze. Mam koszulkę Adriana z Realu Betis, koszulkę de Gei też bardzo chętnie bym przygarznął - wskazał także „prywatny” cel uzdolniony golkipier.

PARY 1/16 LIGI KONFERENCJI

Sigma Olomuniec - Lausanne Sport;
Fiorentina - Jagiellonia Białystok;
KuPS Kupio - Lech Poznań;
Zrinjski Mostar - Crystal Palace;
Drita - Celje;
Noah - AZ Alkmaar;
Omonia Nikozja - NK Rijeka;
Shkendija - Samsunspor.
©©



Lech i Jagiellonia także wiosną występy w ekstraklasie łącząc będą z rywalizacją w Lidze Konferencji

PKO BP Ekstraklasa Legia i Rakówz pierwszymi zimowymi transferami

JUŻ WYBRALI NASTĘPCĘ OSKARA

Jakub Jabłoński
jakub.jablonski@polskapress.pl

Jagiellonia wybrała już następcę 17-letniego Oskara Pietuszewskiego. Utalentowanego skrzydłowego ma zastąpić równie młody zawodnik, którego dotychczasowa kariera wzbudza... kontrowersje.

Jagiellonia Białystok jest o krok od pozyskania następcy sprzedanego do FC Porto Pietuszewskiego. Ciekawymi informacjami w sobotni poranek, 17 stycznia, podzielił się zagraniczny dziennikarz Fabrizio Romano. Włoch poinformował, że 19-letni skrzydłowy Keyan Varela z Servette FC miałby kosztować białostocki klub około miliona euro.

Kwota transferu może okazać się jednak niższa. Ze względu na problemy pozaboiskowe 19-latkę, w związku z którymi z pozyskania piłkarza zrezygnował ligowy rywal Jagiellonii, Raków Częstochowa, mówi się teraz o połowę niższej sumie odstępnego.

Widzew Łódź sprowadził już czwartego piłkarza w zimowym oknie transferowym. Mowa o bramkarzu Bartłomieju Drągowskim, który po dziesięciu latach zdecydował się na powrót do kraju. Do klubu dowodzonego przez Roberta Dobrzyckiego dołączyli również - za rekordowe pieniądze - skrzydłowy Osman Bukari (około 5 milionów euro), doświadczony pomocnik Lukas Lerager z Kopenhagi,



Kacper Tobiasz ma już konkurenta w bramce Legii. Czy odejdzie do Samsunspor?

a także lewy obrońca Christopher Cheng.

Bliski strefy spadkowej Widzew Łódź może wkrótce pozyskać duńskiego pomocnika Emila Kornviga z norweskiego Brann, a ponadto coraz głośniej mówi się o sprowadzeniu środkowego obrońcy. Według najświeższych doniesień najbardziej realny ma być ruch polegający na aktywowaniu klauzuli wykupu Carlosa Isaaca z hiszpańskiej Córdoiby CF.

Pierwszych wzmocnień w zimowym oknie dokonały również Legia Warszawa i Raków. Drużyna ze stolicy zakontrakto-

wała bramkarza Otto Hindricha z rumuńskiego CFR Cluj. 23-latek ma być alternatywą dla Kacpra Tobiasza, któremu po zakończeniu sezonu wygasa kontrakt. Polskim golkipierem interesuje się turecki Samsunspor.

Raków wzmocnił natomiast wahałdą, sprowadzając słoweńskiego piłkarza z amerykańskiego New York City FC. Mitja Ilenič został pozyskany na zasadzie rocznego wypożyczenia z opcją wykupu.

Pogoń Szczecin również ogłosiła wzmocnienie rodem z Ameryki. Dumę Pomorza zasilili bowiem Kellyn Acosta, pozyskany

za blisko dwa miliony euro. Defensywny pomocnik ma na koncie ponad 300 występów w MLS oraz 58 meczów w reprezentacji Stanów Zjednoczonych.

Jednocześnie wciąż toczy się batalia o grającego na tej samej pozycji Patryka Diczka, którego transfer został już ogłoszony, ale zawodnik dołączy do zespołu dopiero latem. Apel do prezesa Alexa Haditaghiego w jego sprawie wystosował Kamil Grosicki, który związał się na kolejny rok z Pogonią - z opcją przedłużenia o kolejny oraz gwarancją stanowiska w strukturach klubu po zakończeniu piłkarskiej kariery.

Adam Godlewski

„Krótka piłka”

DO NORMALNOŚCI WCIAŻ DALEKO

PKO BP Ekstraklasa rozwija się, o czym świadczy znalezienie - wreszcie! - przez polskie kluby sposobu na skuteczne występy w Lidze Konferencji i idący w ślad za nimi skok w europejskim rankingu, ale do pełnej normalności jest chyba jeszcze dalej niż do TOP 10 w klasyfikacji UEFA.

Potwierdzeniem powyżej postawionej tezy jest zawirowanie wokół (nie)aktywowania klauzuli wykupu Leonardo Rochy przez Zagłębie Lubin. Ktoś wynegocjował sumę (podobno około 800 tys. euro, choć padają też nieco wyższe kwoty), którą trzeba zapłacić Rakowowi Częstochowa po okresie wypożycze-

nia, piłkarz potwierdził w drużynie Miedziowych, do której wszedł z przytupem, że jest warty tych pieniędzy. Mało tego, zadeklarował, że chętnie zwiąże się z klubem z Dolnego Śląska na dłużej. Zatem wydawało się, że nic prostszego jak zapłacić umówioną kasę, żeby cieszyć kibiców kolejnymi trafieniami roslęgo Portugalczyka...

No właśnie, wydawało się, gdyż Zagłębie nie skorzystało z prawa pierwokupu - sprzedanego i wartościowego - napastnika. Co świadczy z jednej strony o organizacyjnej niedojrzałości Miedziowych (podobno to rada nadzorcza miała utracić transfer, o który jednak jeszcze nie zdecydował się Zagłębie i Rakowa mieli dogrywkę,

sugerując obniżenie sumy odstępnego), a z drugiej o ograniczeniach, a może nawet kłopotach finansowych w lubińskim futbolu.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Raków jest w trakcie spłacania transz za Tomasza Pieńkę, a zatem to Częstochowianie mają dług wobec Zagłębia, który można by przekierować na obsługę wykupu Rochy. Tyle że - jak się wydaje - kołdra w Lubinie jest tak krótka, że wówczas powstałyby niedobory na innych odcinkach zobowiązań. A chyba warto w tym miejscu przypomnieć, że nie wszystkie pieniądze z wysokiego transferu (1,7 mln euro) kapitana młodzieżówki trafią na konto Miedziowych. Bo znaczącą część przychodu z tej transakcji zasili konto bohatera tego transferu, który oprócz dużego talentu i umiejętności może się pochwalić także niezwykle operatywnymi doradcami...

Czy Zagłębie ma podstawy, aby chwalić się rozwiązaniami podejmowanymi w poprzednim rozdaniu - czyli przez ludzi, z dy-

rektorem sportowym na czele, których nie ma już w klubie? To oczywiście pytanie retoryczne. Podobno trupów w lubińskiej szafie jest niemało i właśnie z tego powodu dziś władze klubu i organy nadzorcze sportowej spółki każdą wydawaną złotówkę oglądają kilkakrotnie. To oczywiście nie tylko ich prawo, ale wręcz obowiązek. Dlaczego jednak padło na sprawdzonego (i to niejednokrotnie) w polskich realiach napastnika, to już pewnie wiedzą tylko członkowie tych gremiów. Czyżby zabrakło im nie tylko kompetencji w obszarze sportu, ale i wyobraźni, że - rezygnując z Rochy - ryzykują wzmocnienie ligowych przeciwników (oddają przecież na rynek naprawdę łakomy kąsek), a jednocześnie skazą Zagłębie na randkę w ciemno w poszukiwaniach nowego napastnika?

Zakładam przy tym, że elementarną wiedzę polegającą na tym, że bez klasowego napastnika trudno będzie Miedziowym rywalizować w naszej wyrównanej lidze, mimo wszystko posiadają...

Rodzina Bukowieckich rozpoczęła sezon halowy

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

W pierwszym tegorocznym starcie halowym Konrad Bukowiecki pchnął kulę we Wrocławiu obiecując 20,61 m. Sezon pod dachem jeszcze nie ruszył na dobre, a już mamy dwa rekordy Polski...

Na mityngu we Wrocławiu Konrad Bukowiecki - halowy mistrz Europy z Belgradu z 2017 roku - wygrał konkurs pchnięcia kulą z wynikiem 20,61 m.

Seria: 19,38 m - 20,19 m - x - x - 20,61 m - 20,51 m.

To najlepszy w tym roku wynik w Europie. Małżonka Konrada, Natalia Bukowiecka, rozpoczęła sezon 22 lutego 12. edycją mityngu „Orlen Copernicus Cup” w Toruniu.

Na tych samych zawodach rekordzista świata w dziesięcioboju do lat 20, Hubert Trościanka, który właśnie zakończył wiek juniora, uzyskał w tej konkurencji wynik 13,93 m, a w skoku w dal 7,25 m. W obu przypadkach są to oczywiście jego rekordy życiowe.

Kilka dni wcześniej Trościanka ustanowił „halowe ży-

ciówki” na płotkach (7,93 m) i w skoku tyczce (4,80 m), a 24 stycznia w Spale ma skakać wzwyż i pobeć płaskie 60 metrów.

Suma rekordów życiowych niespełna 20-letniego Polaka to już wynik nieco ponad 6000 punktów w halowym siedmio-boju. W historii polskiej lekkoatletyki tylko dwóm panom udało się uporać z tą granicą: Sebastianowi Chmarze i Pawłowi Wiesiołkowi...

Przy okazji warto odnotować fakt, że Hubert traci zimę swoje największe atuty wielobojowe, czyli bieg na dystansie 400 metrów i rzut oszczepem...

Na mityngu w Spale Szymon Dołęga (rocznik 2009, SKS Feniks Siedlce) ustanowił halowy rekord Polski juniorów młodszych w biegu na dystansie 60 metrów - 6,80 s.

Poprzednimi rekordzistami kraju w tej kategorii wieku byli Marek Zakrzewski (rok 2022) i ... Dołęga (rok 2025) z czasem 6,82 s.

Najlepsi polscy juniorzy młodsi (U18) w historii 60 metrów:

6,80 Szymon Dołęga (2026);
6,82 Marek Zakrzewski (2022);



FOT. GRZEGORZ GALASINSKI/POLSKA PRESS

Najważniejszą tegoroczną imprezą sezonu halowego będą mistrzostwa świata w Toruniu

6,83 Dariusz Adamczyk (1992);

6,83 Łukasz Jasiński (2025);

6,84 Krystian Prus (2025);

6,86 Mateusz Górny (2019);

6,86 Oliwier Wdowik (2019);

6,86 Tomasz Bajraszewski (2023);

6,87 Patryk Franko (2012);

6,89 Dawid Grzaka (2021);

6,89 Łukasz Grodek (2023);

6,89 Igor Łuczyński (2024);

6,89 Eryk Krakowski (2025).

Minimum na tegoroczne halowe mistrzostwa świata w Toruniu wynosi 6,59 s.

Z kolei na zawodach w Rzeszowie złota medalistka ubiegłorocznego Olimpijskiego Festiwalu Młodzieży Europy,

Aleksandra Sochacka (rocznik 2009), ustanowiła halowy rekord Polski juniorów młodszych w skoku w dal - 6,20 m. To jednocześnie najlepszy tegoroczny wynik na świecie w tej kategorii wiekowej...

Seria niespełna 17-letniej Sochackiej: x - 5,97 m - 5,74 m - 6,10 m - 6,20 m - 6,19 m.

Poprzednią rekordzistką Polski U18 w hali była Olga Szlachta (6,14 m w 2023 roku), która aktualnie startuje w zawodach NCAA.

We francuskim Hirson Mateusz Kołodziejcki - podopieczny trenerów Włodzimierza Michałskiego i Pawła Wojciechowskiego - wygrał konkurs skoku wzwyż z wynikiem 2,25 m. To nie tylko „życiówka” - wyżej w tym roku na świecie skakali tylko wykluczeni z międzynarodowych zawodów Rosjanie...

Polak oddał też niezłe próby na wysokości 2,28 m.

Specjalistka od biegów sprinterskich, a dzisiaj rozpychająca w bobslejach Klaudia Adamek będzie pierwszym polskim sportowcem w historii, który wystartuje zarówno w letnich, jak i w zimowych igrzyskach olimpijskich.

Sezon halowy rozpoczęły również zagraniczne gwiazdy. W pierwszym od trzech lat starcie na Ukrainie absolutna rekordzista świata w skoku wzwyż Jarosława Mahuczich uzyskała na mityngu we Lwowie najlepszy wynik od 1,5 roku (i ustanowienia rekordu świata - 2,10 m).

©️

Ligi zagraniczne: niesamowity gol Dembele, efektowne zwycięstwo Bayernu

Bartosz Głab
redakcja@polskapress.pl

W ligach TOP 5 z pewnością trzeba zwrócić uwagę na kolejny pogrom Bayernu Monachium w Bundeslidze i niesamowite trafienie Ousmane Dembele w Ligue 1.

ANGLIA

Absolutnym hitem 22. kolejki angielskiej Premier League były sobotnie derby Manchesteru. W nich lepsze okazały się „Czerwone Diabły”, które wygrały 2:0.

Drużynę z Old Trafford po raz pierwszy poprowadził były reprezentant Anglii Michael Carrick. Było to pierwsze zwycięstwo Manchesteru United od świąt Bożego Narodzenia.

„Czerwone Diabły” zdominowały lokalnego rywala po przerwie. W 65. minucie Bruno Fernandes zanotował asystę przy голу Bryana Mbeumo, a wynik pewnym strzałem ustalił Patrick Dorgu w 76. minucie.

Manchester United już w następnej kolejce zmierzy się na wyjeździe z Arsenalem, który w ligowej tabeli przewodzi z kilkupunktową przewagą nad grupą pościgową.

Na samym dniu plasuje się natomiast Wolverhampton, który wyraźnie odstaje od reszty stawki.

PREMIER LEAGUE

Wyniki 22. kolejki: Manchester United - Manchester City 2:0, Tottenham - West Ham 1:2, Sunderland - Crystal Palace 2:1, Liverpool - Burnley 1:1, Leeds - Fulham 1:0, Chelsea - Brentford 2:0, Nottingham Forest - Arsenal 0:0.

FRANCJA

Największym wydarzeniem weekendu we Francji było efektowne zwycięstwo PSG nad OSC Lille 3:0.

Media całego świata obiegło cudowne trafienie w drugiej połowie Ousmane'a Dembele, który fantastycznie zwiódł trójkę rywali i z mistrzowską precyzją przelobował bramkarza. Dla gwiazdora reprezentacji Francji był to dopiero 5. ligowym gol w tym sezonie. Wcześniej to on rozpoczął strzelanie w tym spotkaniu w słynnym Parku Książąt.

W tabeli francuskiej Ligue 1 liderem niespodziewanie jest RC Lens, które ma punkt przewagi nad PSG. Na dole rywalizacja jest niezwykle zacięta - podobną liczbę „oczek” mają Metz, Auxerre, Nantes oraz Paris FC.



FOT. SYLVIA DABROWA/POLSKA PRESS

Kylian Mbappe w meczu z Levante zanotował pierwsze trafienie w tym roku kalendarzowym

LIGUE 1

Wyniki 18. kolejki: Monaco - Lorient 1:3, PSG - Lille 3:0, Lens - Auxerre 1:0, Toulouse - Nice 5:1, Angers - Olympique Marsylia 2:5.

HISZPANIA

W Hiszpanii nastroje minimalnie poprawił kibicom Real Madryt, który po przegraniu w finale Superpucharu Hiszpanii i sensacyjnym odpadnięciu z Pucharu Króla z drugoligow-

cem pokonał u siebie 2:0 Levante.

Pierwszego z goli dla „Królewskich” strzelił Kylian Mbappe. Francuz zanotował dopiero pierwsze trafienie w tym roku kalendarzowym, ale i tak wyraźnie przewodzi w klasyfikacji strzelców La Ligi z liczbą 19 bramek.

W ligowej tabeli prowadzi FC Barcelona. Po drugiej stronie plasuje się natomiast Real

Oviedo, który w ten weekend poniósł już 11. porażkę w tym sezonie La Ligi.

LA LIGA

Wyniki 20. kolejki: Espanyol - Girona 0:2, Real Madryt - Levante 2:0, RCD Mallorca - Athletic Bilbao 3:2, Osasuna - Real Oviedo 3:2, Real Betis - Villarreal 2:0.

NIEMCY

W sobotnie popołudnie po kolejnym efektownym zwycięstwie sięgnął Bayern Monachium. Bawarczyści rozbili na wyjeździe RB Lipsk aż 5:1, a 3 ostatnie bramki strzelili w końcówce w odstępie zaledwie 5 minut.

Warto przypomnieć, że latem ekipa z Monachium wygrała z Lipskiem jeszcze efektowniej - 6:0. W całym sezonie aktualni mistrzowie Niemiec strzelili już 71 goli, czyli więcej niż będące na podium Borussia Dortmund i TSG Hoffenheim razem wzięte.

Nie jest niespodzianką, że Bayern Monachium jest absolutnym liderem tabeli Bundesligi z 11 punktami przewagi nad wyżej wspomnianymi zespołami. Na dole plasują się St. Pauli, FSV Mainz oraz Heidenheim.

BUNDESLIGA

Wyniki 18. kolejki: Werder Brema - Eintracht Frankfurt 3:3, VfL Wolfsburg - He-

idenheim 1:1, TSG Hoffenheim - Bayer Leverkusen 1:0, Hamburger SV - Borussia Mönchengladbach 0:0, Borussia Dortmund - St. Pauli 3:2, FC Köln - FSV Mainz 2:1, RB Lipsk - Bayern Monachium 1:5.

WŁOCHY

We Włoszech warto zwrócić uwagę na niespodziewaną porażkę Juventusu 0:1 z Cagliari. Swoje mecze skromnie wygrały natomiast Inter Mediolan oraz SSC Napoli.

Nezarzurri pokonali na wyjeździe Udinese Calcio, a pod koniec pierwszej połowy bardzo poważnie wyglądającej kontuzji doznał Jakub Piotrowski. Reprezentant Polski, mimo ogromnych krzyków z bólu, opuścił boisko o własnych siłach.

W tabeli Serie A przewodzi Inter Mediolan, a podium uzupełniają AC Milan oraz SSC Napoli. W strefie spadkowej są natomiast Hellas Werona, Pisa oraz Fiorentina. Popularna Viola pod koniec ubiegłego roku zaczęła realizować szaloną misję uratowania się przed spadkiem.

SERIE A

Wyniki 21. kolejki: Pisa - Atalanta 1:1, Udinese - Inter 0:1, Napoli - Sassuolo 1:0, Cagliari - Juventus 1:0.
©️

Na najważniejszą decyzję kibice muszą czekać

Artur Bogacki

artur.bogacki@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. W Pucharze Świata w Sapporo, ostatnim przed MŚ w lotach i igrzyskami, Polacy mieli huśtawkę nastrojów. Sobota była kiepska, niedziela dobra.

Pierwszego dnia Polacy zaliczyli jeden z najgorszych konkursów w sezonie. Do drugiej serii dostało się tylko dwóch zawodników: 25. był Dawid Kubacki, a 29. Maciej Kot. Punktów nie zdobył, dopiero po raz drugi w sezonie, 32. Kacper Tomasiak.

Dzień później w „30” mieliśmy już czterech skoczków, trzech w TOP 20: 12. był Tomasiak (poprawił się po I serii o 5 pozycji), 15. Kubacki (spadek o dwa „oczka”), 20. Maciej Kot (awansował o 7 pozycji). Swój pierwszy punkcik PŚ, za 30. lokatę, zdobył debiutujący w ten weekend w PŚ Klemens Joniak (do sobotniego konkursu nie dostał się).

Królem Sapporo został Słoweniec Domen Prevc. Lider klasyfikacji Puchar Świata wygrał oba konkursy, a w pierwszym zdeklasował rywali, wypracowując ponad 22 pkt. przewagi!



Kacper Tomasiak w PŚ w Sapporo lepiej spisał się w drugim konkursie – zajęł 12. miejsce

Takimi wynikami Polaków nie ma się co ekscytować. Więcej emocji budzi wybór składu na zbliżające się igrzyska olimpijskie. Sapporo było ostatnim przystankiem PŚ przed imprezą sezonu (po drodze – w następnym weekend – są jeszcze mistrzostwa świata w lotach w Oberstdorfie), a po tym starcie miał zo-

stać ogłoszony skład na IO. I decyzja ponoć już zapadła, tylko kibice jeszcze jej nie poznają.

Jak podał dziennikarz Eurosportu Kacper Merk, który był w Sapporo, kadra jest już wybrana, a zawodnicy poinformowani. Całość musi jeszcze zatwierdzić PZN, co nastąpić ma 22 stycznia. Na razie Polska ma

trzy miejsca, ale może zyskać kolejne, jeśli ze swoich zrezygnuje ktoś z federacji (to się okaże najpóźniej 21 stycznia). Problem jednak jeszcze w tym, że nasza ekipa nie jest opcją pierwszego wyboru z dodatkowej puli.

Trener Maciej Maciusiak nie miał łatwego zadania. Zgodnie z założeniami przed sezonem

na igrzyska mieli jechać najlepsi z Polaków w rankingu olimpijskim oraz jeden skoczek wybrany przez sztab. Tyle że wówczas mieliśmy realną szansę na cztery miejsca, ostatecznie skończymy raczej z trzema. A to wszystko rodzi komplikacje.

Przypomnijmy, że punkty do olimpijskiej klasyfikacji zdobywać zaczęto już dużo wcześniej, także w letniej Grand Prix. Numerem jeden na niej w naszej ekipie jest Paweł Wąsek, w tym sezonie bez formy. Z kolei Kacper Tomasiak, zdecydowanie najlepszy nasz zawodnik, jest w rankingu... dopiero szósty (punktował tylko przez pół tego sezonu). Co więcej, pod nieobecność Kamila Stocha w Sapporo drugim naszym zawodnikiem „olimpijskim” formalnie został Dawid Kubacki, który dzięki punktom zdobytym w Japonii wyprzedził kolegę. Gdyby sztywno trzymać się zasad (o ile jeszcze obowiązują, skoro mamy mniej przepustek), to bilet do Włoch ma właśnie on, Wąsek oraz ktoś dobrany – trudno obstarwiać, że nie Tomasiak. A więc dla Stocha nie ma miejsca!

Tyle że takie rozwiązanie nie obroni się. Sprawiedliwe nie jest,

bo na igrzyska powinni jechać aktualnie najlepsi. Realnie patrząc, pewniakiem jest Tomasiak. Mocnym kandydatem długo był kończący karierę Stoch, lecz ostatnio w Zakopanem spisał się słabo i nie krył, że się znów pogubił. A inni złapali drugi oddech. W Sapporo swój słynny „kroczek do przodu” zrobił Kubacki, Kot wiele od niego nie odstawał, a ostatnio był lepszy.

Dużo gorsze noty za ten sezon mają Wąsek i Piotr Żyła. Dwaj ostatni, wraz ze Stochem, trenowali teraz w Zakopanem, co było ostatnią szansą na przekonanie do siebie Maciusiaka. Komu się to udało? Przekonamy się w tym tygodniu.

Wyniki PŚ w Sapporo, sobota: 1. Domen Prevc (Słowenia) 285,7 (132 i 141 m), 2. Naoki Nakamura (Japonia) 263,6 (134 i 132,5 m), 3. Ren Nikaido (Japonia) 257,6 (130 i 129,5 m)... 26. Dawid Kubacki 217,6 (125,5 i 126 m), 29. Maciej Kot 211,2 (124 i 123,5 m), 32. Kacper Tomasiak 99,8 (119,5 m), 44. Aleksander Zniszczoł 83,6 (117 m).

Niedziela: 1. Domen Prevc (Słowenia) 277,7 (137,5 i 135,6 m), 2. Ryoyu Kobayashi (Japonia) 274,2 (136,5 i 138,5 m), 3. Daniel Tschofenig (Austria) 265,8 (134,5 i 138,5 m)... 12. Kacper Tomasiak 232,6 (124,5 i 134,5 m), 15. Dawid Kubacki 226,4 (129,5 i 127,5 m), 20. Maciej Kot 216,5 (119 i 131,5 m), 30. Klemens Joniak 202,7 (122,5 i 123 m), 36. Aleksander Zniszczoł 94 (121 m). ©©

Srebrny medal sztafety mieszanej na ME

Jacek Kmieciak

redakcja@polskapress.pl

Polska sztafeta mieszana zdobyła srebrny medal mistrzostw Europy w short tracku w holenderskim Tilburgu, poprawiając się o jedno miejsce sprzed roku w niemieckim Dreźnie.

Biało-Czerwoni w składzie Michał Niewiński, Natalia Maliszewska, Gabriela Topolska i Felix Pigeon większość dystansu przejechali na trzeciej pozycji, utrzymując się przed Węgrami, a o złoto walczyli reprezentanci gospodarzy - Holendrzy z Włochami.

Na ostatnim zakręcie decydującego okrążenia błąd popełnił jednak reprezentant Italii, który przewrócił się i wpadł z dużą prędkością w bandę ochronną, ale nie odniósł obrażeń. Z tej pomyłki skorzystali Polacy i Węgrzy, którzy zdobyli brąz.

Pigeon był czwarty w finale na 500 metrów, przegrywając o 0,11 sekundy walkę o brązowy medal. W finale uzyskał 41,156 s, ustępując tylko reprezentantom gospodarzy: Jensowi van 't Woutowi (40,848), Teunowi Boerowi (40,936) oraz Melle van 't Woutowi (41,046).



Felix Pigeon (drugi z prawej) w finale na 500 metrów mistrzostw Europy w Tilburgu zajął czwarte miejsce

- Zawsze, jak jesteś czwarty, to żałujesz, że to nie miejsce na podium. Jestem jednak zadowolony z tego rezultatu, bo to pierwszy raz, kiedy miałem okazję indywidualnie ścigać się w finale A mistrzostw Europy. Jest dobrze, tym bardziej że ostatnio trochę chorowałem - skomentował swój występ Pigeon.

Trzecią lokatę w finale B, a ogólnie ósmą, zajął Łukasz Kuczyński. Z kolei Michał Niewiński został zdyskwalifikowany w ćwierćfinale.

Na 1500 m Pigeon, najlepszy z Polaków, został sklasyfikowany na dwunastym miejscu

(w finale B zajął czwartą pozycję).

Polki słabo spisały się w rywalizacji na 1000 m. Jedynie Kamila Sellier dotarła do finału B, w którym była trzecia, a ogólnie ósma. Gabriela Topolska i Natalia Maliszewska, które będą reprezentować Polskę w lutym w igrzyskach olimpijskich w Mediolanie i Cortinie, odpadły w ćwierćfinale.

Wszystkie te Polki, a także Nikola Mazur, ścigały się też w sobotę w sztafecie na 3000 metrów. W niej także im się nie powiodło - wystąpiły w finale B, w którym zostały zdyskwalifikowane. ©©

Ola Król-Walas druga w PŚ w Bansku

Jacek Kmieciak

redakcja@polskapress.pl

Snowboardzistka Aleksandra Król-Walas trzy tygodnie przed igrzyskami olimpijskimi w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo zajęła drugie miejsce w Pucharze Świata w bułgarskim Bansku.

Aleksandra Król-Walas w sobotnim finale przegrała o 0,55 s z Niemką Ramoną Theresią Hofmeister.

W 1/8 finału 35-letnia zakopianka wyprzedziła Amerykankę Irisę Pflum, w ćwierćfinale okazała się lepsza od Włoszki Lucii Dalmasso, a w półfinale pokonała Japonkę Tsubaki Miki, która prowadziła, ale nie utrzymała równowagi i przewróciła się na przedostatnim zakręcie.

Maria Bukowska-Chyc była 18., a Olimpia Kwiatkowska nie ukończyła przejazdu. Obie odpadły w kwalifikacjach.

Król-Walas trzeci raz w sezonie stanęła na podium PŚ. Wcześniej dokonała tego w austriackim Bad Gastain (3. miejsce) i włoskiej Carezzy (2. miejsce).

Ola jest jedną z głównych polskich nadziei na medal podczas zimowych igrzysk olimpijskich, które w lutym odbędą się we Włoszech.

Polskie bobsleistki Linda Weiszewska i Klaudia Adamek nie wystartowały w minionym weekend w najbardziej prestiżowym Pucharze Świata w niemieckim Altenbergu, a wystąpiły w zawodach Pucharu Europy w Innsbrucku, gdzie zajęły trzecie miejsce w dwójkach, czym zapewniły sobie kwalifikację olimpijską. Weiszewska w igrzyskach Mediolan-Cortina d'Ampezzo może wystąpić również w monobobach. Weiszewska i Adamek ustąpiły jedynie ekipom z Niemiec.

Adamek przejdzie do historii polskiego sportu, ponieważ w 2021 roku wystąpiła w letnich igrzyskach olimpijskich w Tokio jako lekkoatletka w sztafecie 4 x 100 metrów (nie udało się wówczas awansować do finału). W 2024 roku porzuciła tę dyscyplinę i została bobsleistką.

W biathlonowym Pucharze Świata w niemieckim Ruhpolding w niedzielnym biegu na dochodzenie na 10 km Joanna Jakiela i Kamila Żuk awansowały wiele pozycji w stosunku do piątkowego sprintu. Jakiela zajęła 16. miejsce, choć w sprincie była dopiero 37. Podobny awans miała Żuk - z 41. na 18. lokatę. Natalia Sidorowicz zajęła w niedzielę

49. miejsce, a w piątek uplasowała się o siedem pozycji niżej.

Wygrała Francuzka Lou Jeanmonnot, która w sprincie była druga i prowadzi w klasyfikacji generalnej z 718 punktami - o 136 więcej od wiceliderki cyklu Finki Suvi Minkinen. Najlepsza z Polek Jakiela jest 34. z dorobkiem 105 pkt.

W mistrzostwach Europy w łyżwiarstwie figurowym w brytyjskim Sheffield reprezentujący Polskę Rosjanin Władysław Samojłow zajął 19. miejsce w rywalizacji solistów, a w konkurencji par tanecznych Sofia Dowhał i Wiktor Kulesza zajęli 25. miejsce w tańcu rytmicznym i nie zakwalifikowali się do dowolnej części zawodów.

Pierwszym w historii gruzińskim mistrzem Europy wśród solistów został Nika Egadze, a francuska para Laurence Fournier Beaudry i Guillaume Cizeron zdobyła złoty medal w konkurencji par tanecznych.

Skład reprezentacji na XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo ma zostać zatwierdzony przez zarząd Polskiego Komitetu Olimpijskiego oraz ogłoszony 26 stycznia, a cztery dni później odbędzie się jedyne przed wyjazdem ślubowanie. ©©

Mamy melancholijny sezon: dla Stocha wszystko jest po raz ostatni, dla Tomasiaka po raz pierwszy

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

Jakub Kot, komentator skoków narciarskich, z którym rozmawialiśmy przy okazji PS w Zakopanem, oryginalnie ocenił bieżące wydarzenia w polskich skokach.

W tym sezonie Pucharu Świata znów nie wszystko układa się tak, jak byśmy chcieli. Czemu tak się dzieje? Temat jest na pewno złożony, bo mamy dziurę rocznikową. Jak popatrzymy na wyniki z mistrzostw świata w Val di Fiemme (2013), z Lahti (2017), Seefeld (2019), z igrzysk w Pjongczangu (2018), to są to te same nazwiska: Stoch, Żyła, Kubacki, (Maciej) Kot. Mają prawo być w pewien sposób wyeksploatowani. To, że zajmują miejsca w kadrze, bo nie ma lepszych, to też pokazuje pewną słabość tych innych. Owszem, mają gorsze momenty, ale jednak skaczą na takim poziomie, by jeździć na zawody. Widać, że w pewnym momencie brakuje sił. Zmieniają się technika, sprzęt, przepisy. Czasami trudniej jest zaadaptować się takiemu już starszemu zawodnikowi, przyzwyczajonemu do pewnych rzeczy. Niech skaczą, dopóki mają zdrowie i chęci. Im trzeba po prostu pomóc, żeby mogli robić swoje.

Następców przez lata nie bardzo było widać. Jak wygląda ten problem z przerwą pokoleniową?

Ta dziura jest w rocznikach 96, 97, 98, 99. W Polsce jest jeden Paweł Wąsek, który uprawia skoki narciarskie z tych roczników. A na świecie w tym wieku są: Hoerl, Kobayashi, Granerud, Prevc, Kos, Jelar, Lindvik, Granerud, czyli takie topowe nazwiska. W innych krajach było płynne przejście, u nas nie. Dalej roczniki 2000, 2001, 2002, czyli Tschofenig, Nikaido, który ostatnio wygrał, także Raimund. U nas są natomiast Juroszek, Pilch, Habdas. To wielkie nasze nadzieje, z których, niestety, na razie nic nie wyszło. Dopiero potem mamy to bardzo zdolne pokolenie 2005-2008, z Tomasiakiem. Ale są też Szozda, Wróbel, Amilkiewicz, Joniak. Jednak troszeczkę czasu pewnie minie, zanim oni realnie coś osiągną. Tomasiak jest w tym wy-



Stoch, Żyła, Kubacki i Maciej Kot to grupa, która ma prawo czuć się wyeksploatowana

padku ewenementem. Tak nagle wszedł „z buta” i skacze z najlepszymi.

Jak to się stało, że Tomasiak tak niespodziewanie wyskoczył z formą i liczy się w Pucharze Świata?

To są skoki. Gdy jako trener jeździłem na zawody Orlen Cup, on wyróżniał się we wszystkich kategoriach - już jako młodzik i junior młodsz. Widać było gołym okiem, że, oho, to jest talent. Oczywiście w jego roczniku było dwóch, trzech, z którymi rywalizował, ale zawsze dla niego belka była obniżana. Widać było po prostu dobrą technikę, że z niego coś będzie. Podobnych chłopaków było u nas sporo, tylko później na etapie seniorskim się gubili, kończyli kariery. A u Tomasiaka to nagle poszło do przodu. Miał świetne lato, wygrał FIS Cup, potem Puchar Kontynentalny, zadebiutował w letnim Grand Prix i teraz w Pucharze Świata. Chłopak jest bardzo dobrze poukładany, mądry, inteligentny i być może to mu pozwoliło nagle przełożyć sukcesy letnie na zimowe, wskoczyć z niższego szczebla na wyższy. Bo często jest tak, że ktoś w „Kontynentalu” jest dobry, ale jedzie na Puchar Świata i go wszystko przygniata, więc wyniku już nie ma.

Bo na przykład belka startowa jest ustawiona dużo ni-

żej i trzeba się wykazać dużo większymi umiejętnościami technicznymi?

Belka tak, ale też presja dziennikarzy i kibiców. I nagle okazuje się, że tu byłem dobry, a tu nie istnieję. Kacprowi to nie przeszkadza. Były głosy z kadry, że on czy by skakał dla jednego kibica, czy dla dwudziestu tysięcy, to miałby takie samo mentalne podejście. Gość po prostu robi swoje, nawet na Turnieju Czterech Skoczni. Jest jeszcze jedna rzecz. Kacper miał w czerwcu poważny upadek na Wielkiej Krokwi. Wcześniej skakał dobrze, ale, powiedzmy, bez jakiegoś błysku. Po tym zdarzeniu nie trenował na skoczni, miał za to czas na treningi fizyczny. I też słyszałem głosy ze sztabu, że w pewien sposób on wtedy załatał u siebie tę „dziurę” motoryczną, na co nie miał wcześniej czasu. Nie mógł skakać, więc skupił się na siłowni. Wrócił na skocznię z poprawioną motoryką, robił to samo, ale z inną energią, z inną mocą i nagle okazało się, że to zadziałało i jest wow. W pewien sposób ten upadek też jakoś pozytywnie na niego wpłynął, bo znalazł czas na inne rzeczy, uzupełnił braki. Do tego fajny „mental”, no i mamy z niego pociechę.

A nie za wcześnie na takie wyniki? Tak młodego, dziesiętnastoletniego skoczka w światowej czołówce dawno nie było.

Uważam, że nie ma co na to tak patrzeć. Na przykład Domen Prevc w wieku 16 lat był liderem Pucharu Świata. Potem zniknął na dziesięć lat, najwyraźniej dopiero teraz dojrzał mentalnie i fizycznie, żeby być już takim prawdziwym liderem na dłużej, a nie przypadkowym, na raz. Młody czy nie: jeżeli nadarza się okazja, to bierz ją za rogi i korzystaj. Ja też nie lubię wrzucać kogoś na głęboką wodę tylko dlatego, że pojawiła się taka możliwość. Kacper jest młody, ale dobrze w tym sezonie skacze, więc spokojnie mógł pojechać na Turniej Czterech Skoczni, zbierać tam doświadczenie. Ja się o niego nie boję.

Prevc w Słowenii musiał dziesięć lat dojrzewać do tej najwyższej formy. W Polsce chyba żaden zawodnik by nie przetrwał tak długo bez sukcesów.

Wydaje mi się, że nie tylko w Polsce. To jest sport dla cierpliwych, dla wytrwałych. Sam to dobrze znam - byłeś na fali, miałeś miejsce w kadrze, sponsora, a potem się wszystko posypało. I w pewnym wieku zdajesz sobie sprawę, że priorytety są trochę inne. Przetrwasz rok, dwa. Z takich dziesięciu zostanie jeden. Bo dwóch podziękuję, trzech się załamię, dwóm rodzice powiedzą: „Chłopie, masz dwadzieścia pięć lat, bierz się do roboty, a nie będziesz ciągle żył marzeniami”.

Z drugiej strony są przypadki Fettnera, Paschke, Deschwandena czy teraz Hoffmanna. Chłopak nic nie pokazywał przez długie lata, a nagle ma zyciową formę. Skąd to się wzięło? Nie wiadomo. Czasami jak zaciśniesz zęby, przetrwasz te najgorsze momenty, to jesteś w stanie potem w wieku dwudziestu ośmiu, trzydziestu lat osiągnąć sukces. Bo zmienia się sposób trenowania, regeneracji. Do tego „mental”, podejście. Nagle te puzzle układają się i jesteś mistrzem świata.

Psychika u Tomasiaka pewnie jest dużym atutem, skoro - nawiązując do Pana określenia - gdy został rzucony na głębszą wodę, to sobie poradził.

Dlatego też mówię, że o Kacpra jestem spokojny. Jeżeli jesteś w wysokiej formie, dobrze skaczesz i masz fajnie poukładane w głowie, to pewnie, że można cię rzucić na tę głęboką wodę. Jego wypowiedzi pokazują, że to jest naprawdę mądry facet, który jest w stanie odrzucić od siebie pewną dawkę niepotrzebnych emocji i skupić się na robocie. Skoro potrafił zapunktować we wszystkich konkursach, oprócz jednego w Klingenthal (później, po tej rozmowie, także w Sapporo - przyp.), to nie ma w tym przypadku. „Dołek” musi przyjść, bo to nie jest robot - choć oczywiście mu tego nie życzę. Jednak nie spodziewajmy się, że on będzie cały czas blisko podium.

W jakiej roli widziałby go Pan na igrzyskach? Jako zawodnika, który jedzie „po naukę”, czy walczyć o medal?

Zobaczmy, mamy połowę stycznia. Został miesiąc, a w takim czasie jedni mogą się odbudować, inni mogą trochę opaść z formy. Jeżeli Kacper dalej tak będzie rósł, nie złapie jakiejś zadyszki, na co się nie zanoszą, to na igrzyska oczywiście pojedzie nie tylko zadebiutować i zbierać doświadczenie. Na skoczni normalnej, gdzie bardziej liczy się odbicie, a on ma je naprawdę jedno z najlepszych na świecie, to będzie walczył. Nie chcę teraz mówić, że o medal. Choć z drugiej strony - przecież o medal walczy każdy startujący. Jak tam pojedzie Stoch czy Embacher, to też z takim nastawieniem. Co z tego może być? Zobaczymy

po treningach na igrzyskach. To jest też kwestia dyspozycji dnia, skoczni - czy zawodnikowi pasuje. Pamiętajmy też, że w zawodach olimpijskich startuje na przykład czterech Austriaków, a nie sześciu, więc tam łatwiej być w czołówce. Jeżeli będą zmienne warunki, trochę loterii, to trzeba być przygotowanym na dobrą formę, dobry skok.

Jak Pan sobie wyobraża skoki narciarskie w przyszłym sezonie, już bez kończącej karierę Kamila Stocha? Ten przełom jest coraz bliżej.

Teraz jest taki melancholijny sezon. I takie zązębienie, że dla Kamila wszystko jest po raz ostatni, a dla Kacpra wszystko po raz pierwszy. Jeden schodzi ze sceny, drugi debiutuje. Ja na razie patrzę na to tak, że Kamil jest, jeździ na zawody, walczy. Trzeba się skupić na tym, że jeszcze ma robotę do wykonania. Dopiera Planica (tradycyjnie tam kończy się sezon PS - przyp. red.) uzmysłowi, że to już jest koniec, ostatni weekend, ostatni skok. Na pewno będzie smutno. Jeżeli zawodnik tej klasy, z tyłoma osiągnięciami, sam postanawia, że chce odejść, to ma prawo iść na sportową, w cudzysłowie, emeryturę. A czy on będzie bliżej skoków, czy dalej? Po prostu niech robi, co chce. Może się rozwijać w innym kierunku, odpoczywać, ale pewnie też zateśkni za skokami.

Może za rok w styczniu w Zakopanem, zamiast występu w Pucharze Świata, Stoch pojawi się z Panem przy mobilnej skoczni Akademii Lotnika, która promuje skoki wśród dzieci i młodzieży...

Zobaczmy. Kamil przecież ma też swój klub, trenują tam dzieciaki. Nieraz mówił, że lubi tę robotę, na obóz do Planicy z nimi jeździł. Dlatego wydaje mi się, że nie jest w stanie odciąć się od skoków i nagle do tego nie wracać. Oczywiście może być jakiś tam wstręt, gdy czegoś jest za dużo. Ale tydzień, dwa, trzy posiedzisz w domu i nagle czujesz, że czegoś ci brakuje. Osoby związane ze sportem czasami wracają do niego w innej roli, tak też może być z Kamilem. Natomiast nie mam pojęcia, jaki on ma na siebie pomysł, ale pewnie będzie go ciągnęło do skoków.

FOT. MARCIN SZKODZIŃSKI/POLSKA PRESS

MAGAZYN

SPORTOWY24

Aleksandra Król-Walas imponuje formą. W minionym tygodniu na podium kończyła zawody Pucharu Świata w Bansk i Bad Gastein STR. 22



FOT. REX FEATURE/EAST NEWS

Pokaz siły polskiej snowboardzistki

**WYWIAD TYGODNIA
Z JAKUBEM KOTEM:
NASI MISTRZOWIE SĄ
WYEKSPLOATOWANI
STR. 23**

**Echa losowania 1/16
finału Ligi Konferencji.
Humory dopisują
w Lechu i Jagiellonii
STR. 20**

**Kuba Błaszczykowski
wierzy w awans
reprezentacji Polski na
amerykański mundial
STR. 19**